

BEZ ŻYWNOŚCI I WODY

Neapol miasto chaosu i śmierci

LONDYN 29.IX. — Uchodźcy włoscy, którzy przybyli do Amalfi, twierdzą że Niemcy wymordowali w Neapolu przeszło 40 tys. Włochów, w tym dzieci i kobiety. Od chwili kiedy wojska niemieckie wkroczyły do Neapolu, miasto pozbawione zostało żywności. Również przecięty został dopływ wody. Niemcy nie pozwalają przynieść Włochom wody z okolic miasta. Ulice miasta nieustannie patrolują oddziały wojskowe.

Na każdym rogu ustawione są ciężkie karabiny maszynowe. Kiedy Włosi usiłują opuścić dom, Niemcy natychmiast otwierają ogień. Uchodźcy włoscy twierdzą, że na ulicach znajduje się bardzo dużo nieopogrzebanych trupów. W mieście szaleją różne choroby. Przeszło 120 osób zmarło na cholera. Niemcy systematycznie niszczą port, topiąc statki. Neapol, wielkie, milio nowe miasto, jedno z najpiękniejszych na

świecie, jest teraz mastem chaosu i śmierci.

Sławny amerykański korespondent wojenny Reynolds Pacard uczestniczył w wyprawie lotniczej nad Neapolem. Stwierdza on, że nad miastem unoszą się wysokie słupy czarno - szarego dymu. W porcie spstrzegł Pacard 9 okrętów, z których 3 po woli szły na dno.

Korespondent wojenny stwierdza dalej, że ulice miasta wyglądają jak wymarłe. —

Nie widać żadnego ruchu. Neapol podobny jest teraz do Pompei.

Pacard donosi dalej, że wszystkie wielkie rafinerie znajdujące się w południowo-wschodnich przedmieściach Neapolu, płoną. Dzięki nieobecności niemieckich myśliwców, samolot, na którego pokładzie znajdował się Pacard, mógł się zniżyć nad miastem. Pacard donosi, że Niemcy zabrali Włochom przed 24 godziny opuszczając domy.

Tragiczny los polskich jeńców

LONDYN, 29.IX. — Jeden z brytyjskich jeńców wojennych inż. Karol Higgins, który na podstawie wymiany wypuszczony został z niemieckiego obozu — przybył do Londynu. Opowiada on o straszliwych warunkach, w jakich znajdują się jeńcy polscy w stalagu (obóz dla szeregowych). Higgins mówi, że Polacy otrzymują znacznie mniejsze racje żywnościowe niż angielscy i amerykańscy jeńcy wojenni. „Z trudnością panowaliśmy nad sobą, kiedy widzieliśmy w jaki sposób

Niemcy obchodzą się z Polakami” — opowiada inżynier. W wielu obozach wybuchł tyfus. Inżynier podczas swej podróży przez Niemcy miał możliwość stwierdzenia ogromu zniszczeń, dokonanych przez lotnictwo brytyjskie w Zagłębiu Ruhry. Zmyliwszy czujność straży, Higgins wyskrobał dziurkę w czarnym papierze, którym zaklejone było okno przedziału. W niektórych miejscach nie został dosłownie kamień na kamieniu.

Czy Włosi pożegnają się z zamorskimi posiadłościami?

LONDYN, 29.IX (Reuter). — Specjalny korespondent agencji Reuter, Gordon Waterfield donosi, że wkrótce znane będą wyniki ważnych rozmów, toczących się między przedstawicielami Sprzymierzonych, a królem Włoch i marsz. Badoglio. Trzy ważne zagadnienia mają być rozwiązane.

Według informacji, otrzymanych przez

korespondenta agencji Reuter, marsz. Badoglio usiłuje otrzymać zapewnienie, że dawne posiadłości włoskie w Afryce: Somali, Erytrea i Tripoli zwrócone będą Włochom po wojnie. Jednak Sprzymierzeni odmawiają udzielenia tego rodzaju przyrzeczenia, dotyczącego zamorskich posiadłości Włoch.

Rozważana jest również sprawa uznania rządu marsz. Badoglio jako rządu włoskiego. Rząd Badoglio, podkreślając tu, posiada jedynie niedużą część państwa włoskiego pod swoją kontrolą. A rząd ten zresztą

nie jest kompletny. Składa on się do tej chwili z marsz. Badoglio, ministra marynarki i lotnictwa i nowo mianowanych ministrów skarbu i spraw wewnętrznych. Na leży się spodziewać, że w bliskim czasie do siedziby króla włoskiego przybędą wybitni przedstawiciele narodu włoskiego i że uda się utworzyć nowy rząd na szerszych podstawach. Rozpatrywano również z jaką reakcją spotka się przyłączenie Włoch do obozu Sprzymierzonych u Greków, Jugosławian i Francuzów.

Pod osłoną Gestapo Mussolini przemawia przez radio

LONDYN, 29.IX. — Niemiecka agencja prasowa donosi, że z okazji trzydziściu rocznicy podpisania paktu Trzech, Mussolini wygłosił onwe przemówienie przez radio. Zapowiedział on m. in., że w najbliższym czasie w Rzymie odbędzie się zebranie faszystowskiej partii republikańskiej. Zaatakował on w bezprzykładny sposób króla Wiktora Emanuela, nazywając go degeneratem i zdrajcą, który usiłował sprzedać naród włoski Wielkiej Brytanii i przekreślić wspaniałe tradycje narodu

włoskiego.

Na zakończenie swego przemówienia Mussolini oświadczył: Będziemy walczyli ramie przy ramieniu z naszymi towarzyszami niemieckimi i japońskimi i wypełnimy zobowiązania, zawarte w pakcie Trzech.

Willa, w której przebywa Mussolini, strzeżona jest przez specjalne oddziały niemieckie SS. W chwili kiedy Mussolini przemawiał, gmach radiostacji obstawiony był przez gestapo, a ruch na ulicy wstrzymany.



Wiktor Emanuel.

UWAGA!

W sobotę, 2 października, czytanie „ORLA BIAŁEGO”, który zawierać będzie specjalny dodatek z ostatnimi wiadomościami z frontów i polityki.

Będzie to tego dnia jedyne polskie pismo zawierające ostatnie depesze.

1000 ton bomb spadło na EMDEN Amerykanie stosują nową taktykę

LONDYN, 29.IX (Reuter). — Ciężkie bombowce brytyjskie atakowały wczoraj nocy Hanower. 7 samolotów niemieckich zestrzelono w walkach powietrznych — donosi komunikat kwatery marsz. Harris. Prasa londyńska podaje, że podczas ostatniego nalotu na Emden bombowce zrzuciły na miasto przeszło 1000 ton bomb. Podczas walk Niemcy stracili 58 myśliwców. W nalocie na Emden, który odbył się w dzień, lotnicy amerykańscy zastosowali nową taktykę: myśliwce amerykańskie towarzyszyły bombowcom aż nad same miasto, ochraniając je przed atakami lotników niemieckich.



Marszałek Harris.

Pierwsze sygnały?

M. p., 29 września.

(-el) Jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami wszelkich rachub na rewolucję niemiecką. Niemcy nie są z natury rzeczy narodem, skłonny do buntu i rewolucji. A Niemcy obecne, ujęte w żelazną obręcz hitlerowskiego reżimu, są materiałem najmniej podatnym do rewolucji, chociaż wsty skie względy obiektywne przemawiają za wybuchem i to wybuchem żywiołowym.

Pomimo tych zastrzeżeń i tego zasadniczego stanowiska — nie możemy pominąć wiadomości, które nadchodzą z Niemiec, i o Niemczech, a które są jak gdyby sygnałami nadsięgającej burzy.

Rozpaczyli artykuł Goebbelsa, przysięgający, że „Trzecia Rzesza nie skapituluje”, nabiera szczególnego znaczenia na tle pogłoszek, że wśród generacji niemieckiej dojrzeła myśl o próbie uratowania Niemiec za cenę obalenia Hitlera. Świadomie lansowane pogłoski, że Goering ma stać się „niemieckim Badoglio”, są — jak sądzić należy — jedynie zasłoną dymną, ukrywającą właściwe akcje i wypadki, które tam może dojrzeć. Ze źródeł neutralnych nadchodzą informacje wskazujące raczej na osobę „feldmarszałka Mannsteina, jako na przywódcę „ruchu niezadowolonych” wśród generacji niemieckiej.

Aktywne są również kółka prusko - junkierskie, zgrupowane wokół ludzi typu Pappena. Choroba tego niemieckiego ambasadora w Ankarze, gorączkowe komunikaty niemieckie, iż „Pappen nie popadł w nielaskę”, nabierają swoistego posmaku, jeśli się je zestawia z telegramami z Berlina o rewizjach wśród członków Herrenklubu, którego przywódcą był właśnie od wielu lat von Pappen.

A wreszcie — wiadomość najciekawsza:

o buncie załóg niemieckich okrętów wojennych w jednym z portów norweskich. Wiadomość tę podał poważny korespondent półurzędowej, brytyjskiej agencji Reutera. Anglicy zaś interesują się żywo sprawami morskimi i miewają zwykle w tej dziedzinie dobre informacje. Jeśli wiadomość o buncie na pokładzie „Tirpitz”, „Scharnhorst” i „Luetzowa” okazała się ścisłą — to wtedy trzeba by istotnie poddać rewizji dotychczasowy pogląd na szanse rewolucji w Niemczech. Dowodziłoby to bowiem, że obok zamiarów zamachu stanu, nurtujących u góry, zaczyna się groźny ferment — w dołach.

Ubocznie chcemy przypomnieć, że w roku 1918 pierwsze wybuchy rewolucyjne w Niemczech nastąpiły właśnie w marynarce wojennej. Także i w Rosji obie rewolucje: w roku 1905 po przegranej wojnie z Japonią i w roku 1917 po klęskach na frontach wojennych — miały swe ogniska pochodkowe wśród marynarzy floty wojennej.

Hitler posiada niewątpliwie świadomość niebezpieczeństw, grożących jemu i Trzeciej Rzeszy. Widać to z proklamacji, jaką przesłał na ręce Quislinga w Norwegii, w której pisze, iż „w bitwach jakie się toczą, rozstrzyga się na wiele stuleci los rasy germańskiej”. Jeszcze rok temu Hitler mówił, że wskutek zwycięstw niemieckich rozstrzygną się losy Europy i zamieszkujących ją narodów. Dziś myśli już o własnej skórze... Postęp jest widoczny.

Tak więc na horyzoncie niemieckim pojawiają się dziwne sygnały. Nie wolno ich lekceważyć. Ale też nie należy ich przeceniać. Wojnę z Niemcami wygramy wysiłkiem Zjednoczonych Narodów, a nie rachubami na załamanie się Niemiec. Trzeba liczyć na siłę Aliantów, a nie na słabość Trzeciej Rzeszy.

WETERANI KAMPANII LIBIJSKIEJ Australijczycy okrążyli Finschhafen

LONDYN, 29.IX (Własna służba radiowa APW). — Radio nowojorskie podaje, że wojska australijskie okrążają ważną bazę japońską Finschhafen na Nowej Gwinei. Straże przednie oddziałów australijskich znajdują się w chwili obecnej w odległości 1 km od miasta. Artyleria Sprzymierzonych oraz ciężkie bombowce dniem i nocą bombardują port Finschhafen, uniemożliwiając dowóz posiłków dla oddziałów japońskich.

Wśród oddziałów australijskich, walczących na Nowej Gwinei, znajdują się niektóre pułki ze sławnej 9-ej dywizji australijskiej, która tak chlubnie zapisała się w wojnie w pustyni Libijskiej.

Według ostatnich wiadomości, Finsch-

hafen jest w tej chwili całkowicie okrążony, zarówno od strony lądu, jak i morza.

Lotnictwo Sprzymierzonych posiada całkowitą przewagę.



Sprzymierzeni na Nowej Gwinei.

JEDEN Z WIELU

Sprawa Stanisłausa Urbaniaka

Londyn, we wrześniu.

Prasa polska wychodząca w Anglii podjęła słuszną kampanię, którą nazwijmy — kampanią rewidykacyjną. Chodzi o jeńców niemieckich — Polaków, lub słuszniej powiedzieć — Polaków potencjalnych.

Jest rzeczą dowiedzoną, że w Reichs werze, Luftwaffe i Marynarce Rzeszy jest ich dużo. Ilu? Można zastosować proste obliczenie. Przeciętnie w czasie wojny 15 procent ludności zostaje zmobilizowanych do czynnej służby; Polaków w Rzeszy Niemieckiej, nie licząc Mazurów z Prus Wschodnich, było — bądźmy ostrożni w naszych obliczeniach — conajmniej milion. Armia niemiecka liczy przeto około 150 tysięcy Polaków. (Nie mówimy w tej chwili o ogromnych ilościach Polaków z Rzeszy, przemocą, a bezprawnie wcielonych do armii niemieckiej).

Nie wszyscy przyznają się do polskości, wielu z nich zostało urobionych przez szkoły, przez partię, przez arbitrony i dziesiątki innych organizacji, w których, chcąc żyć, musieli się kamuflować. Zewnętrznie więc ulegali niemieceni. Powstaje zagadnienie, czy ten pokost można zmyć i jaką do tego należy obrać drogę? Czy nie nasuwa się właśnie okazja przeprowadzenia już dzisiaj na jeńcach niemieckich pochodzenia polskiego pewnego rodzaju doświadczenia?

Niedawno popularny w Londynie dziennik wieczorny „Evening Standard” w reпортаżu z okupowanej Francji opisuje scenę, jak polski lotnik stracony nad Francją i w przebraniu przedzierający się ku wolności słucha nie bez zdziwienia, w paryskiej „kafejce”, czterech marynarzy niemieckich rozmawiających między sobą... po polsku! Bardzo charakterystyczny szczegół i bardzo wymowny.

W „Dzienniku Polskim” kampanię w tej sprawie podjął felietonista pisma podpisujący się „Gwaszem”. Okazję do podjęcia zagadnienia dał mu codzienny komunikat w języku niemieckim radia brytyjskiego. W spisie jeńców usłyszał nazwisko „Urbaniak Stanisław”, jako miejsce pochodzenia podano — Dortmund. Ale oddajmy głos Gwaszowi...

„Któż to będzie ten Urbaniak z Dortmundu? Ojciec jego, stary Urbaniak do Dortmundu przywędrował 50 lat temu spod Żnina, lub może spod Wrześni. Cóż? W tamtych stronach, hen po całym Księstwie, Urbaniak to tak popularne nazwisko — jak Kaczmarek, jak Stasiak. Mocny, dobry naród ten ród Kaczmareków i Urbaniaków. Najmocniejszy. To ci, których zapewne dziś jest coraz mniej w Poznańskim. Wysiedleni!

Stary Urbaniak, ojciec naszego, wyciągnął (tak się to tam mówi) do Westfalii. Za chlebem, Panie, za chlebem. Jedni z Małopolski szli do Ameryki, drudzy z Kresów dobijali się chleba aż na Syberii, lub w dalekiej Mandżurii, a ci spod Żnina i Wrześni szli na zachód. Wtedy to właśnie jedni Urbaniacy zakładali w Berlinie warsztaty krawieckie i szewskie (na początku ubiegłego wieku najlepsi krawcy w stolicy Niemiec byli Polakami), drudzy szli do kopalń. Mieszkali oto w oceanie niemieckim, otoczeni ze wszystkich stron wrogim żywiołem. Czy wynaradawiali się? Nie! Zakładali natomiast rodziny, sprowadzali panny (tak się to tam mówi) z tegoż Żnina lub Wrześni, najładniejsze zawsze były spod Ponieca, budowali towa-

rzystwa św. Barbary, organizowali Sokoła itd.

Tak w oceanie niemieckim wybuchali i trwały dziesiątkami długich lat archipelagi najczystszej, najlepszej, najgorętszej polszczyzny... Szły lata, umierali jedni, dorastali drudzy, ich polskie serca trwały hen w Dortmundzie, w Duesseldorfie, w Eberfeldzie, w całej Ruhrze. Przeszła wielka wojna, część wróciła do ziemi swych ojców. Nie wszyscy. Część przesiąkła do pobliskiej Holandii, Belgii, Francji... Nie wrócili wszyscy, większość nawet została. Dorobiła się trochę, o! nie wiele, tyle, że pięknej, dębowej sypialki i bawialki (tak się to tam mówi). Pasporty pozostały niemieckie, serca zaś polskie, najlepsze...”

Słusznie pisze dalej Gwasz, że są to

dzieje ojców dzisiejszego jeńca Stanisłausa Urbaniaka. I że jeżeli Urbaniak czuje się Polakiem, nie wolno nam go dzisiaj — opuścić, jeżeli zaś został przefarbowany na Niemca, nie wolno nam — z niego zrezygnować.

Nasz stan posiadania nie jest tak zadowolony, ażeby stać nas było na machnięcie ręką na Urbaniaków. Szkoda byłoby polskiej krwi, nie jest jej po świecie za dużo. Jeżeli zapytany Urbaniak powie że jest Niemcem, to poprostu skłamię. A rzecz na tym polega, że wina za to kłamstwo nie powinna spaść na jego głowę. Naszą rzeczą, naszym obowiązkiem jest wrócić go.

Komu?

Tym ojcom, którzy na Chrście Św.

dali mu imię patrona Polski.

Są różne propozycje, jak należy przystąpić do jeńców niemieckich — Polaków. Jedni radzą starać się o wydzielenie ich do wielkiego wspólnego obozu i o oddzielenie ich od kolegów - Niemców drudzy, przewidując trudności, chcieliby ograniczyć się do możliwości dostępu do nich.

Jest to już jednak sprawa drobniejsza, zagadnień technicznego rozwiązania problemu. Rzeczą najważniejszą, aby akcja ta z łamów prasy przeszła na biurka kompetentnych czynników.

Wierzmy, że nadejdzie chwila i że nastąpi to nie zadługo, kiedy Urbaniak Stanisław zostanie skreślony z listy jeńców, a wpisany na listę armii polskiej.

TADEUSZ ZABŁOCKI

AMERYKANIE STWIERDZAJĄ:

POLACY ZAWSZE PIERWSI

Bufallo, we wrześniu.

Pułkownik Clifford O. Henry kierujący biurem rekrutacyjnym w Bufallo (St. Zjednoczone) oświadczył, że Polacy stanowią procentowo największą grupę spośród rekrutów Amerykan obcego pochodzenia. Dodał on, że Polacy są na pierwszym miejscu w walce o wolność i byt.

W tym samym mieście kierownik biura rekrutacyjnego marynarki U. G. T. Milan podał niedawno do wiadomości, że 39% aplikantów do szkół kadetów lotnictwa morskiego oraz oficerów pokładowych czy inżynierów morskich jest pochodzenia polskiego.

Pismo polskie w Bufallo „Dziennik dla Wszystkich” ogłaszając te informacje dodaje od siebie: Trudno byłoby wyliczyć wszystkich, którzy ponieśli śmierć na odległych frontach w walkach o wolność i byt. Faktem jest znanym, że wielu naszych rodaków bierze czynny udział w ciężkiej i ofiarnej służbie wojskowej na lądzie i morzu, w dalekiej Północy czy w skwarnej dżungli lub pustyni Afryki, codziennie narażając swe życie w walce o wolność St. Zjednoczonych i Narodów Sprzymierzonych.”

„Wielu z naszych rodaków wykazało swe zalety wojskowe, zdobywając za szczytne odznaczenia czy stopnie wojsko-

we. Wśród oficerów, mamy bardzo wielki procent ochotników, którzy wyróżnieni zostali ze zwykłych szeregowców. Zaliczyć należy do nich oficerów w stopniu podporucznika, porucznika, kapitana, majora, którzy okazali się nie tylko do brymii szeregowcami, ale także świetnymi oficerami — dowódcami. Wielu z lekarzy dentystów, inżynierów i innych przedstawicieli wolnych zawodów odbywa służbę wojskową w obecnej wojnie. Polonia w Bufallo nie tylko wysłała tak duży procent swoich członków do szeregów armii. Jest ona pierwsza spośród wszystkich grup narodowościowych, która złożyła blisko pół miliona dolarów na kup-

no dwóch wielkich bombowców. „Dziennik dla Wszystkich” wychodzący w Bufallo otrzymał wyrazy specjalnego uznania od władz rządowych za sprzedaż bonów wojennych na sumę 665.000 dolarów”.

„Na rzecz Czerwonego Krzyża Polonia złożyła dużą daninę krwi do transfuzji. Komitet Ratunkowy Polski w Bufallo zebrał już blisko 100.000 dolarów na cele ratunkowe. Własnym kosztem zakupiona ambulans dla Armii Polskiej w Anglii”.

W tym długim rejestrze podkreślają cym tylko kilka najważniejszych odcinków wykazujących udział Polonii w Bufallo w wysiłku wojennym St. Zjednoczonych uderza niesłychana żywotność i aktywność elementu pochodzenia polskiego i jego ogromny wkład do wywalczenia zwycięstwa Stanom. Pozwala na to zdecydowane zajmowanie stanowiska w sprawach polskich, bo rodacy nasi świadomi są, iż głos ich, będący wyrazem tych wszystkich, którzy w tym wysiłku współdziałają, ma pełne uzasadnienie.

LIST ANGIELSKIEGO MAJORA

ŻOŁNIERZE POLSCY MOGĄ BYĆ SPOKOJNI O RODZINY W AFRYCE

Nairobi, we wrześniu.

Kierownik Ekspozytury Delegata Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w Salisbury w Południowej Rodezji otrzymał od angielskiego komendanta osiedla w Rusape, majora Gagshave serdeczny list. Major za jego pośrednictwem zwraca się do żołnierzy polskich na Środkowym Wschodzie, zapewniając, że rodzinom ich niczego nie brak ani pod względem materialnym, ani moralnym, a postępowanie i zachowanie się naszych uchodźczyń może zasługiwac tylko na pochwałę i uznanie.

List ten brzmi jak następuje: „Jestem rad, iż mogę wypowiedzieć swą opinię, co

do kobiet i dziewcząt polskich, znajdujących się pod moją opieką. Jako ojciec kilku córek i jako stary żołnierz, który przeżył w czasie wojny wszystkie troski i cierpienia połączone z rozbięciem ogniska domowego, mogę zapewnić pana, a za pana pośrednictwem żołnierzy polskich, że nie mają żadnego powodu do niepokoju. Kobiety i dziewczęta polskie, które tu się znajdują pod troskliwą opieką, byłyby jak najszcześniejsze gdyby nie fakt, iż znajdują się zdala od ojczyzny oraz od swych mężów i braci.

Mogę tylko z największym uznaniem wyrazić się o ich stanie moralnym a jako katolik muszę podkreślić ich wielką po-

bożność i religijność. W szczególności dzieci czują się tu jaknajlepiej i czynią wielkie postępy w nauce.

Polscy żołnierze mogą mieć jaknajzupełniejsze zaufanie, iż uczynimy wszystko, by zachować ich rodziny w pełnym zdrowiu fizycznym i moralnym. Chciałbym jeszcze tylko zalecić, by pisywali jaknajczęściej, by uspokoić co do siebie swe rodziny, które tu się znajdują.”

Szczerze oddany

F. J. Gagshave

Major Komendant Obozu.

Czytajcie
NOWY NUMER
„Orła Białego”

Z panem nie jest dobrze...

M. p., we wrześniu.

Dzień przeszedł spokojnie i bez sensacji. Dawniej, kto wie, możeby się ludzie denerwowali, ale teraz! Do wszystkiego się człowiek przyzwyczaja. To że rano były repetycje, a po południu jakiś tam egzamin, to nie takie straszne, aczkolwiek wolelibyśmy się raczej uczyć. Dzień więc był normalny, stateczny, spokojny od wschodu do zachodu.

Po zachodzie jednak targnął nami niepokój. Wieczorem miała być nocna jazda samochodem.

Dla wprawnych kierowców jazda nocna to fraszka, dla kierowców z przypadku, bez praktyki, sprawa przedstawiała się kiepsko.

Noc zaś, jak na złość, była czarna, pomalowana sadzami, księżyc gdzieś się schował, a gwiazdy zamiast porządnie oświetlać — wygłupiały się na niebie, mrużąc ironicznie swoje złote oczy. Wreszcie zjechała kolumna. Nasz wóz, glosem, w którym nie było wewnętrznego przekonania, wydał rozkaz wsiadania. Wsiadamy.

Jest nas 5 osób na wozie. Komendantka Irena, nowoczesny typ zdecydowanej kobiety, zajmuje miejsce przy kierownicy. Podziwiam ją w milczeniu. Właśnie w chwili, gdy mrużąc pod nosem: odważne sa te kobiety... wóz o mały kawałek nie wpadł do rowu.

Krzycząc głośno! Panowie, sytuacja nie jest do-

bra! Wóz nagle wylatuje na pełnym gazie i już już zahaczy lada chwila o krawędź prawego rowu. Z dużą ulgą przyjmujemy zmianę kierowcy, który nadszpedzanie pojechał kilka kilometrów spokojnie i bez wysiłków.

Z pania Ireną rozmawiamy wytwornie o krótkości wzroku. Okazuje się, że cierpimy na identyczną wadę.

Koleżanka jest coppersda nieco zirytowana tą nagłą rozmową o wzroku i obrzuca mnie wcale nie przyjaznym spojrzeniem. Mnie to jednak nie przeszkadza, pozatem śledzę drogę w nerwowym napięciu.

Wreszcie przechodzi kolej na mnie. Zacny i poczciwy instruktor na moje ostrzeżenia, że już i i pół roku nie dotykałem kierownicy, z uśmiechem tłumaczy, że to nie szkodzi, byłem się trzymał krawędzi asfaltu. Z tą krawędzią nie jest dobrze, zapewniam Państwa. Ścisłam kierownicę, wytrzeszczam oczy, pot mnie oblewa, słucham nibyto spokojnie łagodnych uwag i napomnień instruktora, a krawędź mi ucieka. Raz jestem nad prawym, raz nad lewym rowem. Góra, „na pace” rozlegają się głośne okrzyki przerażenia. Dolatują mnie takie słowa jak „wariat!”, „wykołowany”, czemu się wcale nie dziwię. Instruktor tymczasem „robi dobrą

minę do złej gry”, uśmiecha się, daje dobre rady i w miarę posuwania się naprzód — błędnie. Tak mi się wydaje, choć dobrze nie widzę.

Instruktor nigdy nie jest pewny, że wyjdzie z takiej szkolnej jazdy cały. Mimowoli podziwiałem tego człowieka. Odważny jak szatan. Zmiana. Włażi kolega Feliks. Imię Feliks oznacza szczęście. Dla nas jednak nie była to chwila szczęśliwa. Jeszcze nie uchylły ujadania pod moim adresem i żarliwie zapewniana, że z „Panem nie jest dobrze” (tak jakbym ja o tym nie wiedział!) gdy wóz wystartował nagle na wysokich obrotach i pomknął jak strzała, by za chwilę wlec się „noga za nogą”. Proces ten powtarzał się stale. Wtedy, dotychczas milczący blondyn o wspaniale błękitnych oczach, rzucił się do okienka i zaczął zapewniać kolegę o różnych cechach jego charakteru. Ostatnie słowo, jakie doleciało do mnie, było: Ciemniaki! Koleżanka Irena wylaża na bude i mimo skoków, harców i kołowania po szosie wozu — śpiewała z rozwołaniem włosom, niby Walkiria dzikie piosenki. Z boku padały przekleństwa, ja zaś, zależnie od sytuacji na drodze, wydawałem mniej lub więcej przeżalliwe okrzyki.

Nagle stop, światło sygnalizujące zmianę kierowcy. Kol. Feliksa zapewniam zaraz po zobaczeniu go na platformie, że naprawdę nie jest z nim dobrze, na co odpowiada mi z niezachwianą pewnością, że nie chce mnie zmartwić, ale że mna (tu rozłożył ręce tak beznadziejnie, że o mało nie wyleciał) też

nie jest najlepiej, a kto wie czy nie gorzej. „Ma tupet” pomyślałem. Nie wiele jednak mogłem już myśleć, bo nagle jakiś „korsarz drogowy” wyskoczył na nas z ciemności nocy, oślepiając światłami swych latarni. Szum i bęc... lekki wstrząs, muśnięcie wozu o wóz... chwila ciszy i okrzyk ulgi.

Oczywiście kol. Feliks słodko do ucha zaczął szeptać naszemu blond — kierowcy słowa, zaczerpnięte z repertuaru dość swawolnego słownictwa.

Koniec. Złazimy. Koleżanka Irena nagle poczuła gwałtowny głód i biegnie do klubu. Kolega Feliks, kolega blondyn i ja idziemy wyczerpani również do klubu, po drodze zapewniając się serdecznie, że z nami nie jest dobrze. „Bo pan rozumie, nie chcę pana martwić, ale z panem naprawdę nie jest dobrze”.

Wtedy blondyn rzucił wzgardliwie: ciemniaki. Powstaje krótki spór, który łagodzę w ten sposób, że jako ludzie wykołowani nie możemy się niczemu dziwić, nawet jeździe szalonej, ani tej becce, swawolnie, a z hałasem po asfalcie dudniacej, którą bardzo zżęcznie wlokła jedna z naszych przemysłowych koleżanek. To nas godzi. Przed wejściem do klubu spojrzaliśmy na niebo, właśnie księżyc zająśniał krzywym rogami, zrobiło się widnieć.

„Z panem nie jest dobrze... nie chcę pana martwić... pomyślałem i machnąłem ręką.

BOGDAN ZNOWSKI

Karpacka gotowa — czeka! „WOJNA W GÓRACH”

M. p., we wrześniu.

Migają w oślepiającym blasku i gryzących, brunatnych tumanach pyłu białe pasy, pomarańczowe opaski „RR” wśród maszerujących zmotoryzowanych kolumn, skarżą się „Beski” żalnym stukiem żela stwa od bólu kamieni i wyboi drogi, odpowiadają im szum pracowitych „Dodżek”, „Morrisów” ugiętych ciężarem 25-funtów, szczególnie zębami wściekłości stalowej sprężyny carrier, dysząc żarem silnika. Bez dusznie kołyszą się prety wysmukłych anten radiowych, nieczule na zakłęcia czarowników eteru, lekko idąc nierasowe łaźki motorowych koni dowódców. Śliski asfalt chłodzi w pędzie przegrzane motory.

Obojętnie przemyka oko po żółkniałych winnicach, oliwkach wśród kamienistej gleby, spalonych płomach traw wśród wzgórz i białych wesolych domków o czerwonych z bajki dachach. „Boloni! Mangaria!” W pyłe wioski kilkunastu umorusanych dzieciaków klusuje wytrwale wzdłuż drogi, znacząco i z ufnością podnoś się rozchylone palce w symboliczne „V”, śmiejąc czarnymi oczyma, „Bakszisz! Bakszisz!”

„Nieprzyjacieli, niespodziewanym wypadem silnych zmotoryzowanych jednostek wdarł się i opanował północne oraz wschodnie partie pogranicza, umacniając się na zajętych stanowiskach górskich.”

Brygada wsparta jednostkami angielskimi, przeprowadzi natarcie czołowe, w celu wyparcia nieprzyjaciela z zajmowanych stanowisk górskich. Oddziały rozpoznawcze X pułku kawalerii przeprowadzą natarcie demonstracyjne lewoskrzydłowe, prawostronne operacje dywizji „K”.

„Rejon rozproszenia”, cholerny świat, splątana siatka maskownicza ostatecznie okrywa żółty, stygnący kadłub w kurczowych spłotach, wydarte żelazem zbrocze osłania jego serce, rosa potu pokrywa w ziołu wkopany rowek przeciwodłamkowy. Silne zagrożenie samolotów i artylerii n-pla. Najrealniejsze chwilowe niebezpieczeństwo to jednak tysiące zjadliwych skorpionów, „czarne wdowy”, tarantule, nie wiadomo kiedy taki nieproszony gość podzieli z tobą koce legowiska. Cichy uprzykuszony brzęk koło głowy — to tylko malaria — na dźwięk „szczękach” komarów. Nie ma rady, wal maść lub kryj się pod moskitierę!

„Burza” fonogram dla „Bacy” — „Bra tek strumyk melduje gotowość” — „Xawery Violetta Edward — plan ogni 2 Celi na, godzina natarcia Waclaw”.

Cicho nocą podchodzą działa, czasem tyłko zadzwoni nieopatrznie żelastwo, jak krety nikną ciagniki wśród wadi i jarów. — Znów „drucik i pasztecik” ma głos...

„Pułk X przeprowadza ogień jako artyleria bezpośredniego wsparcia, natarcia X brygady. Pułk T wraz z dywizjonem ciężkiej jako artyleria ogólnego działania. Zadanie przełamać opór nieprzyjaciela, wyprzeć z głównych stanowisk. Kierunek po osi drogi na wzgórze 6040. Plan ogni 2 C. W odwodzie batalion K i carryery. W pościg za n-plem wyjdzie oddział rozpoznawczy Gazalla.”

„THE PALESTINE NEWSBOY”

kolporter pism Armii Polskiej

Wyłączny sprzedawca:

Dziennika Żołnierza APW
Orta Białego
Gazety Polskiej
W Drodze

Agent:

polskich czasopism i książek.

Centrala: Tel-Aviv, ul. Lillenblum 40
Oddziały: Jerozolima, Haifa, Bajrut, Bagdad.

Sprzedaż we wszystkich polskich obozach.

„O wschodzie słońca ryknęły śpiże” — najpierw nieśmiało, pojedynczo...

„Pełtew” fonogram dla „Wyzwolenie” — całkowita poprawka 200 jardów, cele wstrzelane.

„Dozór numer 1 powiększyć o 5 stopni, zmniejszyć rozwiniecie o 10 minut, granat zapalnik 117, ładunek drugi, od prawego bateria po trzy, co 100 jardów dwa skoki wprzód, kośba pół obrotu, poziomnica plus 8 stopni 10 minut — 5.600!

Nawiązanie ogniowe na baterię szóstą — W ciągu trzech minut pułk gotów do ognia skutecznego.

Godzina „W” — powietrzem wstrząsnął huk salw baterii zamaskowanych w wadi górskich, trzaskiem dartej płachty jedwabiu w ciszy trwogi, a potem echo głuchych odległych detonacji.

„Zamki, Bochenki, Szpary” — pokryły gejzery dymu i ognia, stalowa śmierć kosił tysiącem odłamków, skruszonych skał, rozdarł dartej ziemi. Zjadliwie wtórują cekaemy i głęboki bas moździerz.

Korzysta ze słabnącego ognia nieprzyjaciela piechota, skryta w „prześciach punktów wyjściowych do natarcia”, drużyna za drużyną, ruszają kompanie, bataliony, wykorzystując każdą zasłonę, załamanie terenu, skokami jak zapamiętali myśliwi. Terkoce nerwowo rozwijają przez patrolo kabiel telefoniczny, ścielą się jego czerwone i żółte wstęgi wśród kamieni brunatnej ziemi i spalonych traw. Ogień maszynowy i dział nie słabnie, pozycje nieprzyjaciela pokrywa już ciężka mgła dymu i pyłu.

„Storczyk, storczyk — meldunek: — „Lwów pierwszy przedmiot natarcia osiągnięty!” — Zielona rakietą generalskim w językiem przysnęła w niebo — „wydużyc ogień!”

Zgrzytnęły zwolnione gąsienice carrierów, ruszyły bataliony odwodowe. Powietrze dygocze żarem upału słonecznego, złowrogim świstem 25 i 6-funtowych pocisków. Jak wabią chłodem śniegów odległe szczyty górskie. Zroszone potem napięcia czoło

owiewa wilgotny słony powiew morza. Zamiękły strwożone skowronki, pierzchnęły stała owiec od swych pasterzy, tubyicy kryją się w domki niepewni szal boju... Wolno, obojętny na losy świata cieknie czas. — Biedni magicy eteru z trudem zbierają swoje roztrzęsione tale... Są i otiary: sanitariusze jak bazyliuszki dopadają „jesteście ranni — zmażdżona stopa!” i mimo protestów bandażują na „szywno”, ukladają na nosze i sanitarkę do najbliższego punktu. Troskliwie ukladają w namiocie, już zapisano ojca, matkę, wyznanie, miejsce urodzenia i ostatni adres w Polsce, ostateczny nie dają zdrowy obiad na niewąski apetyt ciężko ranego.

„Grom — Olimp melduje osiągnięcie głównego przedmiotu natarcia. Wymiatanie przedpola nie ukończone. Główne siły n-pla wycofują się na 376. Gazalla w pościgu”.

„Do wszystkich stacji: koniec ćwiczeń, zbiórka oddziałów w rejonie rozproszenia.”

Przysnęły wyzwolone okowy wojny, spoczywa sproszony hełm, błyszczą potem oliwy karabin, niedbale odrzucona maska p-gaz, tęsknie wychyla się z chlebaka mato we oko menażki. Wóz obok wozu przemysłka, formują się rozproszone, nieprzyjacieli rozbiti, lecz zagrożenie wciąż istnieje.

Zmęczony żołnierz frontowy, mokry od potu i żaru dnia, znalazł chwilowe wytchnienie na tyłach, oczekuje dalszych rozkazów. Grunt, że beef z ryżem już gotowy dymi z kotłów. Jak wojna to wojna! Niezmordowana poczta polowa przywozi dawno oczekiwane listy i gazety. Za kierownicą, pod wozem, za kołem w anemicznym cieniu ukladają się czytelnicy zatopieni w lekturze i kłębach wonnego „sierżanta”.

I znowu natrętne uwiązają się żuki „RR” wśród kolumn powracających na leże garnizonowe, na dziś wojna skończona, Karpacy złożyli swój egzamin sprawności bo jawej.

„Karpacka” gotowa — czeka!

Z. K.

GŁOSY KOLEGÓW

Jeszcze o piosenkach

M. p., we wrześniu.

Wielu ukazało się ostatnio artykułów na temat piosenek żołnierskich, żaden z nich jednak nie wyczerpywał tematu. W jednym artykule wymieniono takie piosenki, w drugim znowu inne. Nazwiska autorów i kompozytorów piosenek przeważnie powtarzają się. Czasem dowiadujemy się o jakimś nowym nazwisku czy utworze. Pisze się też nieraz o takiej czy innej piosence, której nikt nie zna, — i wymienia jej autora zapewne po to, by mu sprawić przyjemność. Mówią, że to ponoć bardzo przyjemnie o sobie czytać. I tak bywa.

Faktem jednak niezaprzecalnym jest, że powstało u nas piosenek bardzo wiele, — żołnierskich i estradowych — i żadna z nich nie spopularyzowała się wśród wojska tak, jak np. w okresie legionowym „Pierwsza Brygada”, „O mój rozmarynie”, „Rozkwitły pęki białych róż” i inne.

Rozmaicie tłumaczone są przyczyny, dla których jest tak a nie inaczej. Autor artykułu p.t. „Piosenki na które czekamy” (Dziennik Żołnierza APW Nr 13) twierdzi, że argument o wpływie muzyki jazzowej na twórczość kompozytorów jest nieprzekonywujący, że raczej winna jest atmosfera, w której się tworzy. Twierdzi dalej, że okres panowania walca i kankana nie przeszkadzał twórczości dla potrzeb wojska.

Otóż pragnę zauważyć, że w okresie walca i kankana nie było jeszcze muzyki jazzowej. Była to muzyka salonowa, która podpadała pod szerokie pojęcie lekkiej muzyki. Do, lekkiej muzyki zalicza

się również jazz, który jednak w ostatnich latach przed obecną wojną tak się przyjął w całym świecie i tyle stworzył najrozmaitszych form i stylów muzycznych odrębnych, że należałoby dźś traktować muzykę jazzową jako oddzielną grupę muzyczną niezależnie od szeroko pojętej muzyki lekkiej. A jeśli idzie o wpływ jazzu na twórczość kompozytorów, którzy w tym rodzaju muzycznym od lat się specjalizują i w nim „korzeniami” tkwią, — to wydaje mi się, że jest on niewątpliwy.

Odnosnie zarzutu, że twórcom brak atmosfery dla ich twórczości, — że nie są zrośnięci ze środowiskiem żołnierskim i nie odczuwają trosk, radości i żalów żołnierskich tak, jak to działo się w okresie legionów, — sądzę, że autor artykułu popełnia tu grubą przesadę. Każdy z nas ma dziś te same zmartwienia i te same rzeczy go cieszą. Każdy z nas zostawił w Kraju swoich najbliższych, każdy z nas chciałby jaknajszybciej do Kraju powrócić i każdy z nas cieszy się — najmniejszą choćby — radosną wiadomością przybliżającą ten nasz powrót. A to są przecież główne tematy wszystkich piosenek, które w wojsku powstają. Ostatni program Czołówki APW jest chyba najlepszym dowodem, że autorzy i kompozytorzy stanęli „frontem do żołnierza”. Jeżeli mowa o atmosferze pracy twórczej, to raczej należałoby warunki tej pracy, — jakże dalekie od normalnej atmosfery twórczej, — zapisać na plus twórców.

Muszę jednak stwierdzić na pocieszenie autora artykułu, że nie tylko my nie wydaliliśmy piosenki, którą śpiewałoby całe wojsko. Anglicy wciąż śpiewają jeszcze swoją piosenkę z poprzedniej wojny świątowej „Tipperary”, Amerykanie „Yankee Doodle” a Francuzi wraz z całym światem „Madelon”. W obozie Sprzymierzonych Narodów nie powstała ani jedna pieśń, która przyjęłaby się choćby w armii jednego z krajów walczących. Musi więc być przyczyna głębsza, aniżeli te, których doszukują się autorowie artykułów o piosenkach. Przypuszczam, że leży ona przede wszystkim w konstrukcji nowoczesnej armii. Dawniej wojsko śpiewało piosenki w marszu, i rytm marsza ściśle był związany z żołnierską pieśnią. Wojsko dzisiejsze nie maszeruje. Dzisiejsza armia, — to wojsko na kółkach. Przewozi się ją z miejsca na miejsce. Maszerowanie samo w sobie jest czynnością monotonna, dlatego piosenka w tempie marszowym była zawsze urozmaicheniem maszerowania i utrzymywała jego jednolity rytm. Wojsko zmotoryzowane nie musi śpiewać piosenek w rytmie marsza; najlepszy zresztą dowód, że u nas w wojsku przyjęły się piosenki w tempie walca, — a więc nic nie mające wspólnego z marszem.

Zgadza się natomiast z autorem artykułu, że bardzo celowym byłoby wydanie „Śpiewnika Żołnierskiego”, — należałoby jednak uwzględnić w nim materiały w jak najszerszym zakresie. Nie wiem, czy nie byłoby celowe, gdyby jedno z naszych pism wojskowych chciało zająć się wydawaniem dodatku muzycznego, takiego np. jaki wydawany był przed wojną w tygodniku krakowskim „As” — oczywiście w formie bardziej dostępnej i popularnej. Tylko w taki sposób byłoby możliwe spopularyzowanie całego szeregu piosenek nadających się do tego pod względem treści, formy artystycznej i tendencji ideowej. Piosenki są — czekają tylko na ich „odkrycie”.

Alfred Schuetz

U ŹRÓDEŁ KULTURY

M. p., we wrześniu.

Wykształcony Europejczyk czy Amerykanin buduje swój pogląd na dzieje i świat, na kulturze greckiej i rzymskiej. Ewangelia, „Dobra Nowina” — doszła nas przez Grecję. Fidasz i Homer, Arystoteles i Plato, rzymskie prawo i rzymskie drogi — to są punkty wyjściowe naszej kultury. A to, co przedtem było i poza tym, Egipt, Mezopotamia, Iran — może i ciekawe, może i zajmujące, ale nie nasze — „Azja”.

Pogląd ten ulega gwałtownej rewizji w ostatnich dziesiątkach lat.

Otworzyła się ziemia. Zdradziły tajemnicę prastare cmentarze. Rozsypują się zbudowane kości pod słonecznym żarem — mówią kamienie.

Długim szeregiem wychodzą z pod gliny i piasku i gruzów, z ruin starych stolic królów perskich, babilońskich, hetyckich, asyryjskich, głowy cięte w białym alabastrze i palone w żółtej terrakocie, cylindry kryształowe i diademy złote, hełmy i miecze. Biblioteki, archiwa, pomniki. Budzi się do życia potężny i wielki, ośniewiający bogactwem i pięknem zamarły świat.

W muzeum irackim w Bagdadzie jest wspaniała, męska głowa z brązu. Puste oczodoły krzyczą czarną plamą. Wydarli szlachetne kamienie przedwieczni rabusie.

Ta głowa w muzeum irackim ma około pięciu tysięcy lat. Pochodzi z czasów, kiedy Grecy po drzewach łązili ubrani w skóry zabitych niedźwiedzi. Dwa tysiące lat przed trojańską wojną kwitnie ta głowa, jak kwiat, zamknięty i tajemniczy.

Grecy umieli robić propagandę. Rozkrzyżowali swoje zwycięstwa i walki na tysiąclecia wzdłuż i wszerz. Zwymyślali od barbarzyńców cały przepiękny, mądry Wschód.

Jedno trzeba przyznać im i dzisiaj: Maraton. To było zwycięstwo. To zwycięstwo mógł odnieść tylko naród, którego obywatel wiedział o co walczy. U Homera niewolnik świnopas Eumaios, ten sam ma

przydomek — boski, dios — co Agamemnon, wódz naczelny armii. Grecy dali kulturze zachodu pojęcie godności człowieka — to o co teraz walczy cały świat.

Ale że ci pobić przez nich barbarzyńcy bynajmniej barbarzyńcami nie byli — to nie jest już dla nas zagadnieniem.

I coraz wyraźniej widzimy i jaśniej, że Grecy byli tylko uczniami.

Kurtyna rozsłania się szerzej. Kiedy Arabowie stworzyli imperium — od dzwoniących wieżyczek Kaszgaru, aż po Pireneje, mógł młodzieniec ambitny i żądny nauki objechać pół świata, aby słuchać mędrców w Samarkandzie, a potem w Bagdadzie, w Kairze i w Kordobie. Uniwersytety były arabskie. Stworzył je islam. Lecz duch ich był perski. To był przyćmiony lecz nieugaszony, święty płomień zniczowy kultury Pehlewi. Persowie politycznie pobić, narzucili ducha swej kultury chłonnym, młodym, wpółdzikiem zdobywcom.

Jedzie samochód górską, perską drogą. Przystanek. Kierowca patrzy na wodospad skalny. I mówi odruchowo, czterowersz Hafisa.

Rolnik orze sochą suchotnicze półko. Podśpiewuje wiersze Firdusiego. Zna na pamięć rozdziały i księgi poety, który zmarł przed tysiącem lat. Tyle nieszczęść przeszło przez tę ziemię, tyle krwi i zniszczenia, przemocy i gwałtu — pieśń poety żyje w sercu wieśniaka.

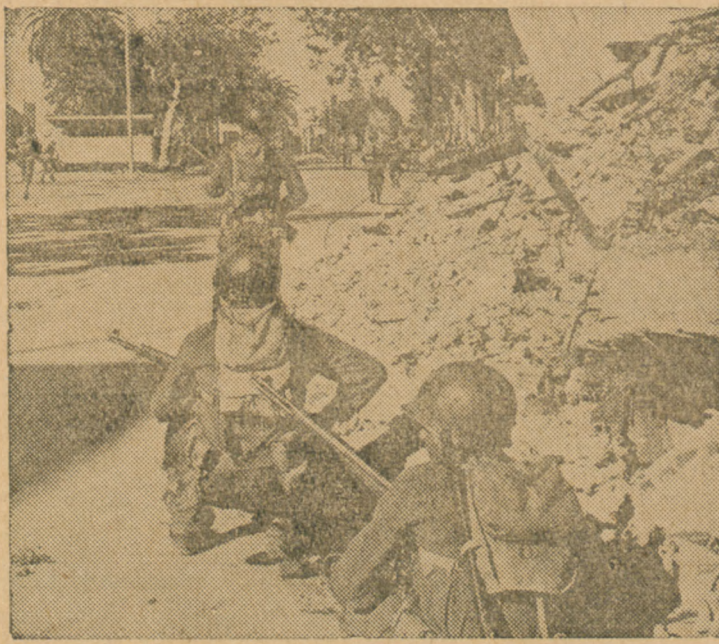
Czy jest drugi taki kraj na świecie, gdzieby skarb kultury narodu, zaklętej w twórczości największych jego synów tak zeszedł pod strzechy, jak to ma miejsce w Iranie?

Otworzyła się ziemia. Przemówiły groby. Zmartwychwstają w blasku lazurów cegielni gwardziści dawno zmarłych królów. Przesłość odżywa.

Trudno dzisiaj wydać wyrok o tym, czym był Iran dla dziejów Zachodu. Sztandary i herby, rycerstwo i ustrój feudalny, szachy i polo, papier i miniatury, legendy i bajki — kalejdoskop. W łańcuchu są luki.

Ale kiedy ziemia i praca i wiedza te luki wypełnią zajaśnieje Iran, kraj nieznan, nieoczekiwana tęcza blasków.

Seweryn Ehrlich



Oddziały amerykańskie w natarciu podczas walk ulicznych.

Amerykanie na tyłach Kesselringa

Niemcom grozi odcięcie

LONDYN, 29.IX (Własna służba radiowa APW). — Radio niemieckie przyznaje, że nowe, znaczne oddziały amerykańskie lądowały dziś we Włoszech i natychmiast rzucone zostały do akcji. Korespondent agencji Reuter, Nicholson, telegrafuje, że bitwa o Neapol rozpoczęła się i że w chwili obecnej nie wiadomo jeszcze, czy Niemcy zdecydowali się bronić miasta.

Sytuacja marsz. Kesselringa jest bardzo ciężka. Sprawozdawca wojskowy radia londyńskiego, Burdett, stwierdza, że V armia amerykańska zdobyła szereg kluczowych pozycji i że niektóre oddziały amerykańskie znajdują się w tej chwili na północ od Neapolu. Tym samym oddziałom nie-

mieckim w Neapolu grozi odcięcie od wrotu.

Wielki manewr oskrzydający, głównodowodzącego wojskami sprzymierzonymi w Italii, gen. Alexandra, udaje się i jeżeli Niemcy w ostatniej chwili nie opuszczą Neapolu i nie przebiją się na północ, los ich będzie przesądzony.

Wczoraj rano kontrolowana przez Niemców radiostacja Vichy doniosła, że silne oddziały pancerne armii amerykańskiej zostały rzucone do akcji dla wzmocnienia natarcia prowadzonego już w bezpośredniej bliskości Neapolu. Jednocześnie — do daje radiostacja Vichy — pancerniki i krą-

żownicy brytyjskie ostrzeliwują od strony morza stanowiska niemieckie.

Wcześniejsze doniesienia korespondentów brytyjskich mówiły o ciężkich walkach o przejścia górskie. Każdy bunkier Brytyjczyków zdobywać musieli po zaciętej walce na bagnety.

Szczegóły zamachu na marsz. Graziani

LONDYN, 29.IX (Reuter). — Specjalny wysłannik agencji Reutera w Zurychu, Langford, donosi, że zamach na marsz. Graziani dokonany został w chwili kiedy „minister wojny w rządzie Mussoliniego” opuszczał gmach radiostacji. Strzały chybiły celu.

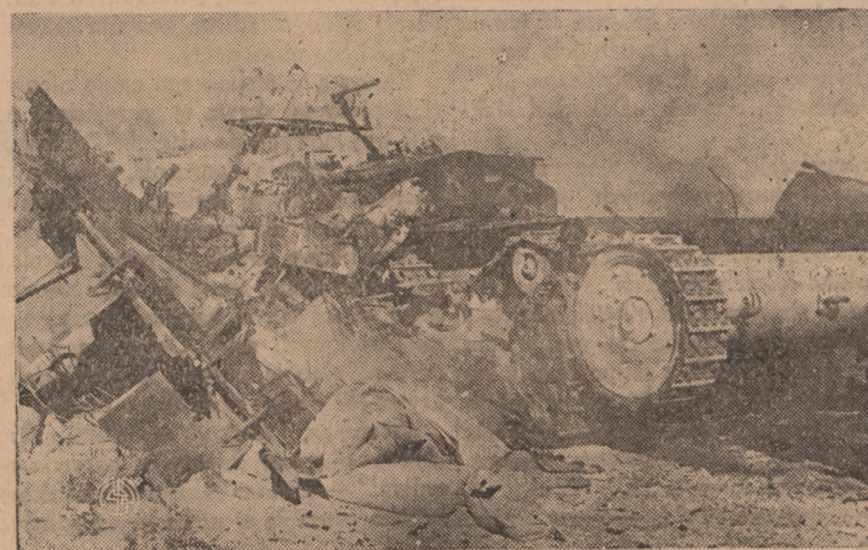
Według otrzymanych tu wiadomości, zamachowiec był przyjacielem bliskiego

współpracownika marsz. Badoglio Bruna Buozi, który natychmiast został rozstrzelany przez Gestapo. Langford donosi, że w Turynie pod osłoną nocy robotnicy zaatakowali oddział żołnierzy niemieckich. — 5 Włochów aresztowano. Na rozkaz niemieckich oficerów zostali oni rozstrzelani wraz z rodzinami.

Argentyna żałuje, ubolewa, obiecuje

BUENOS AIRES, 29.IX. — Rząd argentyński usprawiedliwia się po otrzymaniu ostrej noty rządu brytyjskiego. Komunikat wydany wczoraj w Buenos Aires podkreśla chęć rządu argentyńskiego zacieśnienia węzłów przyjaźni z Wielką Brytanią, w myśl tradycyjnych wytycznych polityki argentyńskiej. Komunikat rządowy ubolewa, że rząd brytyjski przypuszcza, iż na terenie Argentyny spiskuje się przeciwko in-

teresom W. Brytanii. Rząd argentyński obiecuje, że natychmiast podejmie śledztwo i o ile rzeczywiście wykryte zostaną podobne spiski, winni zostaną surowo ukarani.



Zniszczony czołg niemiecki.

Zamach na Lavala

ZURYCH, 29.IX (Reuter). — Jeden z dzienników szwajcarskich wychodzących w Lozannie, donosi, że premier marionetkowego rządu Vichy, Piotr Laval, cudem u-

niknął śmierci w zamachu bombowym. — Bomba wybuchła na kilka minut przed wejściem Lavala do wagonu pociągu z Vichy do Chateldon.

Niemcy nie mają się czym pochwalić

LONDYN, 29.IX (Reuter). Wczorajszy komunikat niemiecki mówi o wzrastającym naporze wojsk sowieckich na froncie środkowym na wschód od Brińska. Komunikat przyznaje, że na froncie włoskim ofensywa Sprzymierzonych wzmaga się na sile. Komunikat dodaje, że wojska niemieckie wycofały się z Foggia na nowe pozycje w górach.

Na froncie dalmatyńskim komunikat

twierdzi, że oddziałom niemieckim udało się wziąć szturmem miasto Split. Komunikat donosi również o wylądowaniu znacznych oddziałów niemieckich na wyspie Korfu.

Piotr II w drodze na Wschód

LONDYN, 29.IX (Reuter). — Król Piotr jugosłowiański opuścił Londyn w drodze na Bliski Wschód. Wraz z królem wyjechali członkowie rządu.

VIII ARMIA ZDOBYŁA 15 LOTNISK

Główna Kwatera Sprzymierzonych w Afryce Północnej, 29.IX (Reuter). — Komunikat wczorajszy donosi iż wojska sprzymierzonych zdobyły wzgórza, dominujące nad miastami Nocera i Wezuwiusz. V armia amerykańska kontynuuje natarcie na wschód od Salerno. Zajęte zostały miasta Lioni i Castelnuovo.

VIII armia po przełamaniu oporu nie-

przyjaciela i zadaniu mu ciężkich strat, zajęła 15 lotnisk w rej. Foggia.

Jak donoszą korespondenci wojenni podczas walk o te lotniska VIII armia gen. Montgomery zadała Niemcom ciężkie straty.

Zdobycie tych lotnisk znacznie ułatwiło akcję lotnictwa Sprzymierzonych. VIII armia zajęła również Helfi, 35 mil na południe od Foggi, ważny węzeł kolejowy, łączący zachodnią część Włoch ze wschodnią.

Zbrodnie Heroda

LONDYN, 29.IX (Reuter). — W ramach zebrania protestacyjnego przeciw prześladowaniu dzieci w Polsce, przemawiał b. wiceminister spraw zagranicznych lord Vansittart, który oświadczył, że zbrodnie Heroda są dziecinną zabawką w porównaniu z nowoczesną polityką niemiecką dążącą do biologicznego wyniszczenia Polaków.

Tajemnicza eksplozja

LONDYN, 29.IX (Reuter). — Jedna z niemieckich agencji donosi o niezwykle gwałtownej eksplozji, jaka miała miejsce w porcie Ameizoeira, w pobliżu Lizbony. Wiele osób zginęło. Eksplozja była tak silna, że w zasięgu kilku mil wyleciały wszystkie szyby.

Nasza Kronika

KALENDARZYK

Dziś: Michała Arch.
Jutro: — Hieronima Kap.
29.IX
Zachód słońca — 18.35.
Księżyc — now.
30.IX
Wschód słońca — 6.31.

CO GRAJĄ W KINACH?

ORAH — „Skłamałam” (Bodo, Smosarska Znicz).
ALLENBY — „Berlin Correspondent”.
EDEN — „Sons of the Sea”.
ESTHER — „Seven days Leave” (komedia wojskowa).
GAN RENA — „Hot Spot”.
MIGDALOR — „Russian Guerillas”.
MUGRABI — „Get help to love”.
OPHIR — „Pacific rendez - vous”.
SDEROTH — „The Adventures of Huckleberry Film”.

WOLF (Willy) Wetstein, dawniej: Kraków, Gertrudy 7. Wiadomość — Erich Nathan, Tel-Awiv 24, Levontin.

DO KOLEGÓW ŻOŁNIERZY

Jak wiadomo, „Dziennik Żołnierza APW” może być sprzedawany jedynie w obozach i terenach zakwaterowania Wojsk Polskich i Sprzymierzonych, tudzież w instytucjach wojskowych. Natomiast nie jest dozwolona sprzedaż w cywilnych kioskach z gazetami.

Dla wygody Kolegów Żołnierzy przebywających na urlopach, lub za przepustką w Jerozolimie i Tel-Awivie, a także dla regularnego obsługiwanego Kolegów mających w miastach tych stały przydział, zorganizowaliśmy sprzedaż „Dziennika Żołnierza APW” w następujących miejscach:

Jerozolima:
Komenda Placu (bufet),
Świątlica Żołnierska nowego Domu Polskiego,
Kasyno Oficerskie Ośrodka Jerozolima (St. Louis Way 29),
Dom Żołnierza Polskiego.
Tel-Awiv:
Komenda Placu (bufet).
Polski Dom Oficerski (Citrus House — portier),

MOSKWA TWIERDZI Opór Niemców pod Dniepropetrowskiem - słabnie

MOSKWA, 29.IX (Reuter). — Korespondent wojenny agencji Reuter, Cooper, donosi: Rosjanie znajdują się w tej chwili w odległości 10 mil od Homla. Ciężkie walki toczą się o przejście rzeki Dniepr w wielu miejscach między Kijowem i Zaporozżem.

Na odcinku północnym frontu Niemcy

cofają się na linię Witebsk — Orsza. Wyborowe sowieckie dywizje gwardyjskie nacierają na Dniepropetrowsk. Zacięte walki toczą się o małe wysepki, znajdujące się na Dnieprze w pobliżu miasta, mogące ułatwić sforsowanie rzeki. Artyleria sowiecka bombarduje z przedmieścia Dniepropetrowska, Niżnego Dniepropetrowska, miasto i fortyfikacje niemieckie.

Rosjanie otrzymali znaczne posiłki w lotnictwie. Niemcy walczą na odcinku Dniepropetrowska desperacko, pozbawieni są jednak swobody manewrowania. Opór ich stopniowo słabnie.

Marokańczycy walczą na Korsyce

LONDYN, 29.IX (Własna służba radiowa APW). — Walki na Korsyce trwają z niezmniejszoną zaciętością. Pod naporem oddziałów francuskich oraz wyborowych pułków strzelców marokańskich, Niemcy zmuszeni byli ewakuować lotnisko Ghisonaccia. Szczególnie ciężkie walki toczą się na drodze, prowadzącej z Corte w głąb wyspy. Ten odcinek frontu obsadzony jest wyłącznie przez strzelców marokańskich, których Niemcy ze względu na ich dziką odwagę szczególnie się obawiają. —

Szczególnie zacięte walki wręcz mają miejsce w rej. Campitello i Campile.

Z ostatniej chwili

LONDYN, 29.IX (Reuter). — Premier Churchill przemawiał na kongresie Kobiet w londyńskim Albert Hall. „Musicie pamiętać — oświadczył premier — że prowadzimy wojnę totalną, wojnę o śmierć i życie. Nie wolno nam o tym zapominać. Wysilek wojenny W. Brytanii podziwia cały świat — zakończył Churchill.

Oświadczenie

WYŁĄCZNIE DLA WOJSKOWYCH

Pismo to ma charakter wojskowy i może być sprzedawane tylko wśród Wojsk Polskich i Sprzymierzonych, a treść jego nie powinna być podawana do wiadomości innym osobom.

NOT TO BE PUBLISHED

This paper is a military document and it must not be sold nor must its contents be communicated to any person who is not a member of the Polish Forces or other Allied Forces.

PALACY

zaopatrują się w papierosy, cygara, tytonie, fajki, ustniki itp. w Tel-Awivie ul. Ben-Jehuda 5 obok kina Migdalor



Kawiarnia i Restauracja

„RACHEL”

Tel-Awiv, ul. Allenby 14-16, Tel. 3735.

Wszelkie mięsne i jarskie potrawy oraz napoje. — Restauracja dla Żołnierza Polskiego. — Ceny przystępne.

Czujesz się najlepiej w restauracji „MAKSA” przy zimnej wodzie i obfitych zakąskach. Śmaczna kuchnia. Spec. napoje chłodzące. Obsługa pod kier. b. wojsk. W. P., Wł. Zapalskiego. — Cafe „CYNIS”, Tel-Awiv, ul. Gruzenberg 22, naprzeciwko kina „Ophir”.

WAŻNE DLA P. OFICERÓW: — Stare mundury, zblaknięte staną się spowrotem nowe — po przenieczeniu ich u znanego krawca wojskowego z Bydgoszczy KOLMANA — Tel-Awiv, Achad Haam 40.



Maszyny biurowe. Wieczne pióra, Reperacje. Wszelkie artykuły biurowe. Pieczątki. Polskie ezonki do maszyn do pisania, Artykuły „Utility” na składzie.
WYPOSAŻENIE BIUROWE BRAUN & SON
TEL-AWIV, ul. Herzla 13. Tel. 2623.

Ekspedycja Paczek do Rosji i innych krajów

Szwajcarski Dom Wysyłkowy

„EGO”

Tel-Awiv, ul. Hess 1 róg Allenby 33

Jerozolima, Leibovich, ul. Ben Jehuda 2, Sansur's Bldg.

Haifa, dr Grosshut, ul. Herzl 32. Księgarnia.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

SPOTKANIE NA ATLANTYKU

Drole de guerre! — śmieszność, dziwactwo wojny... Często pozorne... Ale jest tego dużo.

Jednym z takich dziwactw — jest tempo... Zdawałoby się — wojna jest synonimem tempa. Jednak znakomita większość jej uczestników we wspomnieniach swoich zachowa wojnę — jako czekanie...

A jeśli to tyczy żołnierza, to tym bardziej cywila. A jeśli cywila w życiu codziennym, to tym bardziej — w informacji. Co właściwie się stało, jak się odbyło — dowiemy się właściwie po wojnie.

Otrzymałem list z B. B. C. (radia angielskiego w Londynie), że mój reportaż z pobojowiska w El-Alamein nie był puszczony. Pozwolono na jego opublikowanie dopiero w pół roku potem. W pewnym kraju nie puszczono tego reportażu w ogóle, bo... opisuje rozbite angielskie Shermany. Szanowny cenzor chciał w nas wmówić, że bociany przynosi dzieci i że ich nie trzeba rodzić.

Nie wiem, jakich argumentów używano względem znanego pisarza H. W. Mortona (zaleca się m. i. przeczytać sprzedawaną w księgarniach palestyńskich jego książkę „*In the steps of the Master*” (ślami Chrystusa Pana)).

Faktem jest jednak, że swoją arcykawką relację o spotkaniu atlantyckim Churchilla i Roosevelta, które zrodziło kartę atlantycką, mógł ogłosić dopiero obecnie.

A przecież — sami go zaprosili do udziału w tej ekspedycji. Został wezwany do urzędu informacji, spytano go, czy chce wziąć udział w niebezpiecznym przedsięwzięciu morskim, sądził, że to jakaś bitwa, zbaraniał, kiedy mu ejdnak poradzono wziąć — smoking.

OKAZUJE SIĘ — CHURCHILL JEDZIE...

Siadł do wagonu, nie wiedząc w którym kierunku ruszy. Po jakimś czasie, mimo że nazwy stacji są zdjęte w Szkocji, skombinował, że jedzie na północ. Na pewnej stacji zobaczył oczekującą na ich pociąg grupę gentlemanów... z Churchillem na czele. Stary maszynista pociągu stojącego na torze ucieszył się; wysunął poradloną gębę z tendera i pomachał przyjacielsko:

— Hallo, old Winnie (jak się masz, stary Wincusiul)

Churchill dobrodusnie pokijał w jego stronę i siadł do pociągu.

Był ubrany w tak zwane w całej Anglii „*siren dress*” — ubranie przystosowane do alarmów syren, które w owym czasie właśnie dopiero przestawały dręczyć Anglię (rzecz dzieje się w sierpniu 1941 — Rosja od dwu tygodni jest w walce z Niemcami). Ubranie przypomina narciarski kostium, jest zapinane na błyskawiczne zartzaski; w nim Churchill odbywał rady gabinetowe i przyjmował dowódców; kto wie czy nie w nim stanie kiedyś na cokółach pomników?

NIEBEZPIECZNA DROGA

Wyruszyli na pancerniku *Prince of Wales* w asyście trzech torpedowców. Gubili się w domysłach, gdzie to wybrał się peregrynować *old Winnie*. Załoga była przejęta odpowiedzialnością, która na niej ciążyła. Właśnie przed 25 laty tak samoruszał na pancerniku lord Kitchener, by zaraz przy brzegach angielskich przy wyspach Orkney znaleźć śmierć tajemniczą, śmierć w jakiejś katastrofie, z której nie uszedł ani jeden świadek, śmierć, której okoliczności pozostały zagadką podotąd.

Kabina Mortona nosi ślad — przebił ją pocisk „*Bismarka*”. Kiedy pancernik *Prince of Wales* wytopił tego morską mocarza na drugi dzień po zatopieniu przezeń wspaniałego nowoczesnego pancernika „*Hood*” i załoga gotowała się do akcji, komendant wezwał kapelana okrętowego i sam mu wybrał tekst, który ma zmówić przed bitwą.

I po chwili załoga we wszystkich kątach statku posłyszała przez głośniki głos kapelana:

Boże, Ty wiesz, jak dziś będziemy zajęci, jeśli zapomnimy o Tobie, to Ty nie zapomnij o nas. Przez Chrystusa, Pana Naszego — Amen!

Była to stara modlitwa — z czasów Cromwellowskich — którą wygłosił sir Jacob Astley przed bitwą pod Edgehill.

Pocięty pociskami „*Bismarka*” pancernik, wiozący sere i mózg Anglii walczącej, posuwa się również w przedbitewnym napięciu. Towarzyszące torpedowce nie nadążają i Churchill nie czekał na nie czekać. *Prince of Wales* posuwa się bez żadnej eskorty.

Z kabiny radiowej pancernika dzień i noc leje się strumień depech. Wszystkie mówią o tym — co się dzieje na szerokiej przestrzeni Atlantyku. Wszystkie wiadomości zbiegają się w kabinie operacyjnej, gdzie na pokrywającej całą ścianę mapie Atlantyku pojawiają się zaraz odpowiednie znaki.

Okręty wojenne wroga — to szare kontury na szpilkach.

Łodzie podwodne nieprzyjaciela — czerwone trumienki.

Samoloty nieprzyjaciela — czerwone „*T*”.

Okręty handlowe alianckie — czerwone kontury.

Z godziny na godzinę zmienia się bojowe oblicze Atlantyku. Z portów i baz niemieckich wypływają stada czerwonych trumienek. Z portów alianckich od czasu do czasu wypływa tabun handlowców, — można obserwować co dnia jak jest bliżej celu. Z lotnisk niemieckich wylatują roje czerwonych znaczków „*T*”. Czasem patrzący wykrzykną z emocją: oficer dyżurny wyjmując i wkładając do miseczki czerwonej trumienki — jednej łodzi podwodnej nieprzyjaciela mniej! Czasem westchną — kiedy do miseczki idą wyjęte na pełnym morzu kontury handlowców. Czasem jest wielka radość — kiedy kilkadziesiąt handlowców doszło do portu i wszystkie wracają do miseczki. Najwięcej różnaitości

jest ze znaczkami „*T*”. Samoloty giną jak muchy, ale i nalatują jak roje much.

Wśród tego wszystkiego płynie niechroniony następca Kitchenera. Pancernik, jak zmyślny zwier w kniei, — kiedy duża mapa anonsuje wypłynięcie nowego stada „*ubotów*” i wzięty przez nie kierunek — zmienia kurs.

UMIE PŁAKAĆ I UMIE NIE- NAWIDZIEĆ.

A kiedy przychodzi wieczór — niezmiennie jest pokaz filmu. Stary Winnie wziął zapas filmów jako prezent niejako dla tej młodzieży marynarskiej i nie opuszcza żadnego wieczoru. Zjawia się z nieodłącznym cygarem, otoczony przez dygnitarzy wojskowych w mundurach i cywilnych — w smokach. Lekkim kiwnięciem głowy wita się z zebranymi i całkowicie oddaje się kontemplacji jakiegoś głupiego nieraz filmu kowbojskiego, nie szczędząc wymieniania się uwagami z otoczeniem. Podobno ma talent wyrzucania z głowy wszystkich strapięć na czas odpoczynku. Kiedy jednak idzie wielki historyczny film z życia Nelsona — stary Winnie bez żenady ociera łzy z oczu w momentach dramatycznych. Jest on przedstawicielem starej romantycznej, wybuchowej Anglii z przed trzystu lat, Anglii, która walczyła, wierzyła, krwawiła, która umierała za rzeczy pozornie bezsensowne, Anglii, która się jeszcze nie roztyła w Wiktoriańskiej epoce, w spleenach Bajrona, w cynizmie Oskara Wilde'a, w sceptycyzmie Huxleya, w przewartościowaniach Russela, w paradoksach Shawa, w mądrzeniach się Wella. Stara emocjonalna Anglia Szekspira, w której sumienie było sumieniem, występki występkiem.

Kto wie, to może w godzinie próby głosu wieczny tej Anglii każe robotarzom wołać do Churchilla „*Jak się masz, nasz stary Yinnie*”.

Morton, oglądając „*mapę zdarzeń*” — zobaczył wchodzącego Churchilla z nieodłącznym cygarem w ustach, które artylerzysty spec okrętowy określił jako „*piętnastociałkę*”.

— Znowu jeden — U-Bot zginął!

— Ginią tylko łodzie aliantów — skorygował Churchill — łodzie wroga są niszczone!

Wydało się przy słowie *destroyed* jakby buldog warknął. Stary Churchill umie płakać i umie nienawidzić.

SPOTKANIE

Spotkanie odbyło się 9 sierpnia w zacisnej zatoczce N. Foundlandzkiej.

Stanęły przeciwko sobie dwa okręty wojenne — wyświeżony, błyskający w słońcu wypucowanymi brązami, nieznający *black-out* okręt amerykański i pokancerowany angielski pancernik ze zmatowanymi metalowymi częściami, z kamuflażem, z załogą, która stale, nawet podczas posiłków, nosiła przepisowo kamizele zwane z humorem *Mae West* na cześć grubawej divy filmowej, kamizele, które w wypadku *emergency* w każdej chwili można nadąć.

Wówczas poraz pierwszy zobaczył Morton dowódcę — kapitana *Leach*, jak stał na pokładzie z teleskopem pod pachą. Na razie, w tej zatoce na wodach amerykańskich mógł być pewnym. W drodze powrotnej znowu znikł na cały czas na mostku kapitańskim.

Jeśli Churchill był w *siren dress*, który nosił każdy *wachman* Londynu z obrony przeciwlotniczej, to prezydent Republiki, która jeszcze nie była w wojnie był w ubraniu z materiału *Palm-Beach*, który nosi cała Ameryka i palił *Chesterfielda*, jakiego pali każdy robotarz, w Ameryce bowiem niema papierosów tańszych i droższych. Nie chcę przez to mówić, że w Ameryce nie ma luksusu, ale on kosztuje bardzo drogo. Gdzieś tam żyją milionerzy swoją masą, a poza tym cały naród amerykański — swoją. Właściciel szeregu sklepów piekarskich w Pittsburgu zachwycał się ciastkami Warszawskimi. Kiedy go spytałem, czemu ich nie pocnie wyrabiać, odpowiedział, że kalkulują się za drogo. „*Przecie jesteście bogatsi od nas*” — „*To jest względne. U was ciastek nie je 90%, a u nas musi je mieć każdy robotarz; za to są nieco gorsze*”.

Otóż Roosevelt nie pędzi trybu życia milionerskiego. Byłem u niego na *lunchu*. Pani Roosevelt dała t. zw. *hot-dogs* t. zn. parówki. Zapewniłem, że nie jadłem również podłego śniadania na żadnym przyjęciu. Ale też nie zdarzało mi się widzieć również miłych, prostych i serdecznych gospodarzy.

Podczas kiedy mężowie stanu wiodą obrady ze sobą, następuje bratanie się Anglików i Amerykanów. Do pancernika *Prince of Wales* przybija szalupa, wioząca 1000 kartonowych pakietów — tyle, ilu ludzi liczy załoga. W każdym pakiecie znajduje się 200 papierosów amerykańskich, trzy pomarańcze i ser — smakołyki, których w ojczyźnie nie mieli.

Oficerowie bawili się w messie.

Oficer amerykański, widząc beztrudnie rozbawienie angielskich kolegów, zapytuje:

— Ale na ogół, to ta wojna wam łatwo idzie?

Zapytany oficer angielski był w ostatniej chwili uratowany z tonącego „*Royal Oak*”, liżał się długi czas w szpitalu, a nado jego dom został zrównany z ziemią przez bomby niemieckie.

— *O, very easy indeed* — odpowiada z całym przekonaniem. Stary Anglik ratuje siedmiorgo dzieci pobieranych po różnych kątach Francji. W drodze ma niesłychanie ciężkie przygody, bombardowania, zagrożony jest rozstrzelaniem przez Gestapo, przekrada się barką przez kanał wraz z dziećmi. Wreszcie wszystko się skończyło i siedzi w smokingu w swoim klubie, a obok jakis inny dostojny ramol. Bomby wał, aż się żyrandol chwije — gentlemani z niewzruszoną powagą czytają gazety. Wreszcie jeden baka pytanie:

— Z tym przedostaniem się — dużo trudności?

— Nie, nie dużo... odpowiada zapytany.

Rozmówcy zdecydowali, że sprawa jest

wszechstronnie wyczerpana i zagłębiają się w lekturę.

A jednak widać sprawa tak łatwo nie była „*wszechstronnie wyczerpana*”, skoro po pożegnaniu się z Rooseveltem, Churchill powiedział:

— *Walczyliśmy o życie...*

NIECH MAJĄ SIŁĘ PRZETRWAĆ...

Na nabożeństwo, które miało miejsce na pokładzie angielskiego pancernika, w którym wzięli udział marynarze walczącego kraju i marynarze kraju, cieszącego się jeszcze pokojem, na nabożeństwie, w którym wzięli udział ludzie kierujący losami globu — Roosevelt i Churchill — ten ostatni sam wybrał teksty modlitw.

Modlimy się, Boże, za pogrążone w nieszczęściu kraje, które wróg nadziedził, modlimy się o ich zmartwychwstanie i wolność. O Boże, którego miłosierdzie jest bez granic, wesprzyj narody, na które spadł najazd, niech mają siłę przetrwać do dnia wyzwolenia. Przez Chrystusa, Pana Naszego — Amen.

Kiedy Roosevelt opuszczał pokład angielskiego pancernika, wspierając się na ramieniu syna, zaszedł zabawny wypadek. Kot *Blackie* — maskota pancernika, podczas kiedy orkiestra grała hymn amerykański i wszyscy stali na baczność, ukażał się z dumnie zadartym ogonem i, widać postanawiając optować na rzecz U.S.A., skierował się na schodnię za prezydentem Rooseveltem. Trzeba było widzieć rozpaczliwe miny marynarzy wyprężonych na baczność oraz salutujących oficerów. W ostatniej chwili Churchill uratował sytuację, łapiąc kota.

RULE, BRITANIA!...

Nastąpił powrót. Znowu uważne odczytywanie aury bojowej morza. Churchill koniecznie chce odwiedzić konwój na pełnym morzu. W tym celu pancernik zbacza z kursu. Konwój napotkany jest olbrzymi: 72 handlowce idące tremą kolumnami, które obiega osiem konwujących jednostek marynarki morskiej.

Churchill każe nadać pozdrowienie od niego. Oficer studiujący kod jest w kłopotcie: nie ma słowa „*premier*”. Morton mu radzi, żeby sygnalizował kościół (church) i pagórek (hill).

Handlowce witają premiera entuzjastycznie. Marynarze machają, wołają — „*jak się masz, stary Winnie*”. Churchill jest uszczęśliwiony. Każe raz jeszcze zawrócić i przejechać między okrętami.

Bo też to jest widok potężny i wspaniały — te 72 okręty ładowane sprzętem potrzebnym dla wojny, prujące fale najeżonego niebezpieczeństwami Atlantyku.

Tak oto odbyła się ta jazda, która zostanie pamiętna w historii świata.

Podaję ją za Mortonem w tempie zaiste wojennym — z dwuletnim opóźnieniem.

Poezja, która została wśród nas

Z pośród bardzo licznej plejady młodych poetów Polski przedwojennej niewiele zostało w pamięci. Jakoś dziwnie zagubili się w naszych emigracyjnych, czy żołnierskich wędrownych wspomnieniach autorów i wierszy, których nazwiska przed wrześniem pojawiały się często na łamach pism literackich. Wydaje mi się, że przyczyną tego zapomnienia był specyficzny charakter młodej poezji Polski niepodległej. W dwudziestoparoletnim okresie czasu młoda poezja polska przeszła właściwie wszystkie możliwe szkody i kierunki, wszystkie rodzaje futuryzmu, związanego bądź z francuskimi nadrealistami, bądź z Marinettim, bądź z rosyjską twórczością Majakowskiego i innych. W tej pogoni za nową formą poetycką, w poszukiwaniu dróg, zatraciły się gdzieś trwale wartości treści, postawy filozoficznej, czy ściśle poetyckiej autorów. Osiągnięcia formalne wzbogaciły kułszt pisarzy poetów, osłabiając ich siłę wewnętrzną, maskując braki treści, która jedynie mogłaby przedłużyć znikomy żywot tych tysięcy wierszy i wierszyków, rozproszonych po licznych zbiorach i pismach literackich.

Już na krótko przed wojną zarysowało się przed poetami pałace zagadnienia treści, wewnętrznego bogactwa myśli i przeżyć, szerokiego spojrzenia na rozległą dziedzinę zjawisk nowoczesnego świata. I dlatego dziś, kiedy usiłujemy odtworzyć sobie u twory poetyckie z przed 1939 r. przypominają nam się tylko ci, których indywidualność artystyczna przemawiała do nas nie tylko nową, interesującą formą, ale przede wszystkim bogactwem treści, mocną, wyraźną postawą psychiczną wobec wszystkich zjawisk i problemów.

Do tych właśnie wyjątków, które oborną ręką wyszły z zawieruchy wojennej należy przed innymi Konstany Ildelfons Gałczyński. Poezje jego już przed wrześniem 1939 r. zyskały sobie szeroką popularność. Wydany przez tygodnik „Prosto z Mostu” zbiór poezji pt. „Wiersze zebrane” rozszedł się w dużym nakładzie. Radio, wieczory autorskie, wieczory recytacji popularyzowały je dalej. Nagroda literacka tygodnika „Prosto z Mostu” podkreśliła jeszcze bardziej ich wartość.

Dzisiaj jakże często spotykamy echa

tych wierszy w rozmowach młodych poetów, a również ludzi nie związanych bliżej z rzemiosłem literackim. W jednym z ostatnich numerów tygodnika „W drodze” poeta Tadeusz Sowiński zamieścił wspaniały utwór, zatytułowany „Sherbasha”. Wiersz ten dźwięczy doskonałą parafrazą Gałczyńskiego poematu „Bal u Salomona” czy też utworu pt. „Koniec świata”.

Sprostowanie, które podały „Wiadomości Polskie” na temat pogłoszek o rzekomej śmierci K. I. Gałczyńskiego uradowało wielu jego wielbicieli. Gałczyński żyje i znajduje się w niemieckim obozie jeńców.

Trudno jest w krótkim artykule omówić rozległą skalę poetycką tego poety. Wiersze jego zaskakują czytelnika i w

pierwszej chwili co najmniej dziwią. Ciągłe niespodzianki, oryginalność spojrzenia na świat i jego sprawy nie pozwalają w pierwszej chwili na dokładne sformułowanie wrażenia. Dopiero po pewnym czasie chwytamy obraz barwny i dźwięczny, chwytamy myśl, lub metaforę porównującą, głęboką. Tak było np. ze słynnym jego wierszem „Skumbrie w tomacie”. Dziwaczny, początkowo niezrozumiały refren tego wiersza, drażnił i zniechęcał wielu czytelników. Dopiero z czasem ujawnił się jego sens wyraźny i głęboki. Pamiętam Gałczyńskiego, deklamującego ten wiersz na wieczorze autorskim w warszawskim S.I.M.-ie. Jakże mocno dźwięczał on w jego wykonaniu. Jak gorzko uderzały słowa:

*Był tu już taki. Strzelał. Nie wyszło.
Skumbrie w tomacie, skumbrie
w tomacie
Krew się polata. A potem wyszło
Skumbrie w tomacie, pstrąg.*

Ten dziwny refren, owe „skumbrie w tomacie” miały oddawać atmosferę pewnej rzeczywistości polskiej, w której było coś stłamszonego, ściśnionego, zduszonego, ot, takie właśnie „skumbrie w tomacie”. „Pstrąg” — brzmiało w tym refrenie jak pełne pogardy i lekceważenia przyknięcie palcami.

Gałczyński reprezentuje zdecydowaną postawę społeczną i narodową. Wbrew pozorom jest poetą, który silnie i boleśnie przeżywa wszystkie trudności, blaski i cie-

nie naszej przedwojennej rzeczywistości. Drażni go szarzyzna i ciasnota ludzi, zamkniętych w kręgu własnego podwórka, drażni go snobizm inteligencji. To też satyra i drwina są najmocniejszą jego bronią. Jakaż gryząca ironia i zarazem ludzkie współczucie przejawia się w wierszu zatytułowanym „Tatuś”, który nam mówi o przeciętnym człowieku naszej rzeczywistości, o jednym z tysięcy:

*Kiedyś lubił rydzyki w occie
I rewolucją straszyl —
Dzisiaj pracuje na poczcie
Skubnięty ptaszek.
Biduś — tatuś.
Już dzisiaj inteligentkie kiszeczki
Rydzyków strawić nie mogą.
A rewolucja podchodzi jak księżyc
pod płot
Ale zupełnie inną drogą...*

Innym jest Gałczyński w swoich wierszach do żony. Wiersze te, to zbiór przepięknych, subtelnych i oryginalnych liryków, w których strofa dźwięczy pełną skalą barw, metafor i uczuć. Wiersze te, krótkie i proste są perełkami liryki miłosnej, w których każdy szczegół uderza świeżością i oryginalnością pomysłu. W wierszach tych zachwyca nas doskonała forma poety, który najprostszymi skrótami oddaje obraz lub uczucie. Jakże wyraźną plastyką wnętrza przemawia do nas krótki wiersz, zatytułowany „Wizyta”:

*Proszę, proszę, rozgość się, serdeczny,
Rozejrz się dokładnie po wszystkim
To jest czajnik, prawda jaki śmieszny?
Z gwizdkiem.
To mruczenie, powiem ci w sekrecie,
Jest mruczeniem kota Salomona.
A ta pani przy oknie zamysłona
To moja żona.*

Gałczyński był poetą wileńskim. Tam studiował i motywy Wilna często przewijają się w jego utworach. Biję od nich jakaś śpiewność wileńska i serdeczność.

Dzisiaj, kiedy cudowna muza tego poety zamknięta jest za drutami niemieckiego obozu, przypomnijmy sobie kilka jego utworów. Niech dźwięczą nam jak przedtem, jak teraz i daj, Boże, jak dźwięczeć będą jeszcze długo.

JAN OLECHOWSKI

WIERSZE K. I. GAŁCZYŃSKIEGO

MIŁA MOJA

*Na auto nie stać nas,
miła moja —
Lecz spojrz, tylko się durnie śpieszą
Ileż dostojniej chodzą pieszo
miła moja.
Na Londyn także brak funduszów,
Lecz poco Londyn? Londyn — nora.
W „Paris-Soir” czytałem wczoraj,
że markiz Q., to jest baronet,*

*psim makaronem otrul żonę.
Jasna cholera z takim Londynem
miła moja.
Na kawior z Kremia, na jesiotra
także nie mamy, miła moja.
Lecz pocóż Kreml, gdy mam twe biodra —
Biodra są złote, a noc modra...
A jeszcze mamy lampkę wina
i konto w niebie u Serafina,
Więc gwizdź na auto, Kreml i Londyn —
miła moja.*

L I S T

*Piszę do Was ten list, z nad Limpopo rzeki,
Która płynie przez kraj daleki.
Przed moimi oczyma przechodzą stada słoni
i ludzie szmaragdowi i czerwoni —
Ja wiem, że u Was teraz, naftowa lampa krzywa
Jak senna twarz nad kominem się kiwa
I wszystkie domu zakątki zasnuły wielkie pająki.
Próżno czekacie na pocztę, tylko radio, dobra skrzynia polerowana
Daje Wam czasem koncert na organach
I organowe wojsko wychodzi na pokój z dzidami i drwi
A wasze stare serca skrzypią, jak drzewa...
Że będzie deszcz, mówi ktoś ze skrzyni —
A u mnie wielkie gwiazdy są i czerwone rubiny
Murzyniątka rozpinają palankin nad moją osobą
I w durnia gram z samym-królem rzekę Limpopo —
A u Was bieda i myszy, deszcz, nuda i — Polska.*

MIŁOŚĆ W WILNIE

*Moja mała bardzo lubi rosół
Moja smagła, moja smukła,
Gdy je rosół, to ja jestem wesół
Bo to szczęście, gdy jest rosół i bułka.*

*W oberży dla bezrobotnej inteligencji
Pod afiszem Ligi Morskiej i Rzecznej
Moja mała ma miejsce bezpieczne
Dużą tyżkę trzyma w malej ręce.*

*Tuż obok grają w szachy dwa biedne djabły.
Śnieg, śnieg po Wilnie hula —
Kreślę na dłoni smukłej i smagłej
Drogę dla bajki o Trzech Królach.*

MIECZYSLAW PRUSZYŃSKI

Księżyc wschodził nad Gambutem

Tobruk. Połowa listopada. Po południu. Słońce libijskie nawet o tej porze roku grzeje przyjemnie. Przed schronem odbywam popołudniową sjęstę. O tysiąc metrów siedzą w okopach Niemcy, ale moje miejsce postoju jest ukryte za górką. Próbuję czytać książkę, którą mi wczoraj dał Adolf B. Niestety, literatura australijska jest słabą stroną tego kraju. Od czasu do czasu pocisk artylerii przerywa monotonię tobruckiego dnia. W dzień, w Tobruku panuje nuda. Stale widzi się to samo — pod nogami piasek i kamienie, nad głową błękitne niebo, w dali siną wstęgę Morza Śródziemnego. Jakżeż ten poeta w Londynie dobrze wyraził posępną nudę tego siedzenia w oblężonej twierdzy, gdy pisał:

*Wicher z piasku obnaża
Białą kość pod Tobrukiem...*

Dopiero w nocy niknie piasek, niebo i morze. Czarna noc okrywa wszystko całunem. I wtedy zaczyna się wojna. Grają pociski świetlne po niebie, odbijają się jak kule ogniste od ziemi. Na przedpole wychodzą patrole, zaczyna się polowanie na ludzi. Nad portem unoszą się rakiety na spadochronach, i wtedy chwilami jasno jest jak w dzień. Ale jeszcze jest parę godzin do zmierzchu.

W schronie dzwoni telefon. Zawiadamia, że o 17-ej odbędzie się u d-cy dyonu odprawa dowódców baterii. Por. W., d-ca 3-ej baterii podjedzie po mnie wozem kwadrans przed terminem.

ODPRAWA W TOBRUKU

Nie lubię odpraw. Zwykle jest to zapowiedź zmiany stanowisk. A wtedy ciężka praca żołnierzy włożona w stare stanowiska, w rycie skały, betonowanie, minowanie, maskowanie, mierzenie odległości, rysowanie szkiców — idzie na darmo. Jedyną dobrą stroną odpraw jest, że pułkownik ma świetnego kucharza i zwykle zaprasza nas potem na kolację. Kucharz ten to istny czarodziej: potrafi z konserwy rybnej (na którą już patrzeć nie możemy), sporządzić... karpia po żydowsku. Czasem nawet można dostać po kieliszku rumu. Poza tym pułkownik zna najnowsze plotki ze sztabu i zwykle chętnie się nimi dzieli.

Kilka minut przed piątą spotykamy się, czterech dowódców baterii przeciwpancernych Brygady, przed betonowym schronem dowódcy dywizjonu. Więc najstarszy z nas d-ca 2 baterii, kapitan Roż. Byłem z nim we Francji na kursie przeciwpancernym w Granville w r. 1940. Wysoki, szeroki w barach, energiczny, zamaszysty, ma w rysach twarzy coś z księcia Józefa, co nawet malarz (i podchorąży) Jarema utrwał na portrecie. D-ca 3 baterii, porucznik W. i ja czeladnikowaliśmy pół roku u kpt. Roż. na plutonach, nim przy ostatniej reorganizacji

zaawansowaliśmy na baterie. Ryszard W. interesował się kiedyś filmem i szybko wzięciem, obecnie wolne chwile od służby spędza na malarstwie, specjalizuje się w aktach kobiecych, ciesząc się po półrocznym pobycie w pustyni, ogólnym wzięciem. Wreszcie i baterią dowodzi kpt. K., śniady, sympatyczny, przystojny górą, znam go stosunkowo najmniej. No i wreszcie ja dowodzę czwartą baterią. W kazamatach betonowych, siedzące ongiś jakiegoś dowództwa włoskiego, zaimprovizowano wcale wygodną salę konferencyjną. Malutki wzrostem, ale dzielny duchem zastępca d-cy dyonu (ma za sobą już wojnę światową i na froncie włoskim w 1918 r. dostał się do niewoli... brytyjskiej) zdaje raport pułkownikowi. Pułkownik przeciąga z rosyjska, wesoły, uprzejmy, kawalarz zamiłowany, też stary oficer z pierwszej światówki, lubi opowiadać o swych patrolach nad Dunajem.

Pułkownik rozpoczyna odprawę z na wpół tajemniczą, na wpół promieniącą miną. Widać, że chciałby nas zaraz zepatować tym, co ma powiedzieć, ale cedi słowo po słowie. A więc: przyjedzie ktoś bardzo wybitny do Tobruku; tak, wielki dowódca; czy dowódca korpusu lub armii? — o nie, znacznie wyższy; sprzymierzony? — nie polski; tylko to ściśle tajne, nie wolno nikomu mówić, zwłaszcza piechocie, która chodzi na patrole i gotowa jeszcze stracić jeńca i nieprzyjaciela się dowie; a termin przyjazdu jest tuż, może dziś jeszcze, a na pewno jutro.

Jesteśmy istotnie ustrzeleni. Tego się nikt nie spodziewał. Londyn wydaje się nam tak odległy, jakby na innym świecie. I nagle generał Sikorski zjawia się tu w oblężonym Tobruku? Istotnie wprost nie do uwierzenia! Co za sensacja.

A tymczasem pułkownik uśmiecha się i mówi z dumą:

— Ale proszę panów dopiero pierwsza nowina. Mam jeszcze drugą, równie ważną i równie tajną! Wprost wierzyć nie chcę własnym uszom. A pułkownik znów cedi:

— Jak panowie wiecie, znajdujemy się w oblężonej twierdzy. Z punktu widzenia taktyki dwie są możliwości rozwiązania sytuacji. Albo twierdza zostanie przez nieprzyjaciela zdobyta, co oczywiście wykluczam z mych przewidywań, lub też — nadejdzie odsiecz i odeprze oblegającego twierdzę od 7 miesięcy nieprzyjaciela. Na chwilę tę tak upragnioną czekaliśmy długo, ale właśnie teraz ona się zbliża. Od strony Egiptu dowódca 8-ej armii, generał Cunningham, zdobywca Abisynii rozpocznie ofensywę. Wtedy nieprzyjaciel odstąpi spod twierdzy, szybko będzie chciał się oderwać. A co my wtedy zrobimy? — przerwał pułkownik i dumnym wzrokiem przeszedł po słuchaczach.

— Pościg! — wrarknął któryś z nas.

— Tak, proszę panów, pościg. Odpowiednie rozkazy operacyjne opracowuje właśnie sztab Brygady. Ustne dyspozycje podał mi dziś pan generał. Brygada nasza wystawi dwa oddziały pościgowe. Jeden, który będzie działał w kierunku Medauar, drugi po szosie derneńskiej. Oba oddziały w składzie około kompanii piechoty na samochodach, plus kariery, cekaemy, łączność. Dowódca pierwszym będzie kpt. ..., drugim mjr P., zastępca dowódcy IIBaonu. Do każdego z oddziałów zostanie przydzielona również bateria przeciwpancerna.

Zamieniliśmy się w słuch. Są cztery baterie, które dwie zatem pójdą, które dwie zostaną?

— Panowie wiecie, że traktuje wszystkie baterie

JEEP-PRZYJACIEL ŻOŁNIERZA

Niespodziewany atak

... Zapadał zmrok. Dziś prawie rok temu, gdy z brytyjskiej kwatery głównej pod El Alamein wysunęła się cicho kolumna małych niepozornych pojazdów motorowych przypominających swym wyglądem pierwsze samochody z przed lat czterdziestu. Posuwając się jedynie i kryjąc za dnia w wyschniętych wadi i nierównościach terenu, kolumna zakreśliła szeroki łuk na zachód, i znalazła się daleko poza liniami niemieckimi. Ukryta w mroku, osłonięci wzgórzem, czekali. Czujka dała znak, nasłuchują w napięciu. Cisza, absolutna cisza. W tym z daleka leciuchny, co chwilę wyraźniejszy warkot motorów olbrzymich pustynnych ciężarówek niemieckich wyładowanych benzyną, przeznaczoną dla tanków olbrzymów Mark IV, wracających z linii. Naraz, jak błyskawica, na rozproszone w parowie ciężarówki niemieckie rozpoczął się z nikąd niespodziewany atak. Pociski zapalające z cekaemów przebiły zbiorniki z paliwem, zanim załogi uskokły mogły z siedzeń. Wiele Hitlerowców nie zdążyło nawet ujrzeć wroga.

Gdy kilka godzin później gorące od walki tanki Mark IV wtoczyły się do parowu, zastały szkielety rozbitych ciężarówek, wypalone zbiorniki, i pozostała załoga nieprzytomna ze strachu. Wszystek zapas benzyny tak potrzebnej do walki z Brytyjczykami, lub bodaj do wycofania się, uszedł z płomieniem.

Maszyna do wszystkiego

Niski, krępy, wszedobylski, pokonywający wszelkie przeszkody samochodzik Jeep w A.P.W. w polsposobie Łazikiem zwany jest odpowiedzialny za ten i dziesiątki podobnych wyczynów. Jedynie Brytyjskie władze wojskowe wiedzą jak wiele zupełnie nietkniętych tanków niemieckich zdobytych zostało w czasie odwrotu Rommla, właśnie dzięki atakom dokonywanym na jeepach. Sukcesy były tak liczne, że Dowództwo Armii Zjednoczonej nie poprzestaje domagać się coraz to większej ilości tych pojazdów. W roku ubiegłym około 100.000 wozów tych opuściło fabryki, — w bież. roku, produkcja wzrosła do czterech milionów.

Jedną z najbardziej cennych zalet wypróbowanych tak w Rosji jak i w Tunisie, jest jego znakomita zdolność jako ciągnika p-pancu. Dalsza przydatność to nieszkodliwienie spadochroniarzy w terenach nie nadających się do przebycia przez żaden inny wehikuł. Niemniej uderzające jest jego zastosowanie jako amfibii. Łazik

okazał się niemal niezniszczalnym. — W Indiach, ubiegłej jesieni, pewien szkocki oficer wraz z kierowcą jadąc poprzez wzgórza sprostzerżony został przez bombowiec japoński. W kilka sekund później 500-funtowa bomba eksplodowała w odległości kilkunastu jardów od wozu. Kierowca zginął na miejscu, oficerem rzucono do rowu, a Łazik jak z procy przeleciał kilkadziesiąt metrów i stanął do góry kołami. Gdy przechodzący opodal patrol zabrał czołgo rannego oficera i ustawił Łazika na koła, ten kilkakrotnie kaszlnął, niemal że splunął, i za kilka sekund poszedł na pełne obroty.

Jeep wygląda i pracuje tak jak każda inna maszyna gdziekolwiek skonstruowana dla celów wojennych. Długa na 11, szeroka na 5 i wysoka na 3 stopy, jest o połowę niższa od każdego innego samochodu. Posiada silnik o mocy 63 koni mech. i maksymalnej szybkości 73 mil na godzinę. Pojazd ten o wadze około 1.100 kg. jest poza motocyklem najlżejszym wehikułem wojskowym, i jest na tyle lekki by móc być przewożony w drodze powietrznej, nawet w postaci amfibii. Posiada 4 biegi wprzód i dwa do tyłu, oraz napęd na cztery koła.

Niemcy ani Japończycy nie posiadają nawet w przybliżeniu wozu o podobnych zaletach. Niemiecki samochód ludowy (K.D.F.) specjalnie dostosowany do celów wojny, który ostatnio ukazał się na froncie, nie posiada nawet jednej trzeciej siły Łazika.

Olbrzymie znaczenie tej nowoczesnej broni, do r. 1941 nie produkowanej w typie jednolitym, polega na jego wielostronnym zastosowaniu. — Zaopatrzony w małą skrzynkę umieszczoną z tyłu, służy jako stacja telefonu polowego. Wyposażony w butle gazoszczelne, roztacza zasłonę dymną na polu walki. Uzbrojony w cekaem, ukryty w rowie przydrożnym czuwa nad ruchem i zwalczą samoloty. Na lotniskach wciąga samoloty w chwilach nieprzyjacielskiego nalotu do miejsc ubezpieczonych w ułamku minuty. Dzięki małowielkiemu profilowi jest złym celem dla wroga, tak w czasie akcji jak i patrolu. Oddziały, które zaopatrzone w Łaziki weszły do akcji, przyznały mu znaczenie podobne do znaczenia artylerii lub osłony lotniczej.

Łaziki w walce o Czarny Łąd

W czasie lądowania w Afryce półn. Łaziki okryły się sławą w ciągu jednej nocy. Gdy między Safi i Marakesz, ukryta artyleria francuska, dziesiątkowała lądu-

jące oddziały amerykańskie, por. Paul Martin poprzez mgłą okryte rowy bruzdy i pola zjadała na swym Łaziku stanowiska nieprzyjacielskie i przesłał przez radio meldunek. W kilka chwil później działa okrętowe zmusiły Francuzów do milczenia. W międzyczasie kolumny innych Łazików zaatakowały ogniem cekaemów i moździerzami pozostałe baterie nieprzyjacielskie, i podały na drodze radiowej te stanowiska, które, same załogi Łazików nie były w stanie unieszkodliwić. W ten sposób życie setek żołnierzy amerykańskich zostało uratowane.

Podobnych wyczynów dokonały Łaziki na innych odcinkach frontu. Pod Mazagan, na północ od Casablanki, komendant oddziału tanków otrzymał rozkaz zajęcia ważnego mostu. Podejrzewając, że miejscowy garnizon nie zdołał jeszcze most ten obsadzić, wsiadł do Łazika wraz z trzema strzelcami uzbrojonymi w broń automatyczną, wyprzedził swoją znacznie wolniej posuwającą się kolumnę tanków, i zajął most bez wystrzału, na długo przed przybyciem swojej formacji. — Kpt. lekarz Tom Little z Florydy, na wiadomość, że walka toczy się w odległości 20 mil od jego m.p. wydał rozkaz ambulansom by jak najszybciej za nim podążyły, sam zaś, nie tracąc ani chwili czasu, podjechał Łazikiem do linii. Zanim ambulanse zdążyły przyjechać, kpt. lekarz zaopatrzył już kilku ciężko rannych żołnierzy wymagających natychmiastowej opieki.

Wiele o powiadań o Łazikach wygląda na bajki. I tak strzelec Leonard Hicks z Kalifornii przed lądowaniem z barki debarkacyjnej na wybrzeżu marokańskim, — by maszynę przed zalaniem uchronić, — dolutował prostopadłą rurę do karburatora. Faktycznie przewidywania jego okazały się słuszne, gdyż woda w miejscu lądowania, głęboka na 4 stopy, zakryła wóz kompletnie. A mimo to, będący już w ruchu Łazik, posuwał się naprzód, i po chwili wytoczył się na brzeg dumny ze spełnienia roli łodzi podwodnej.

W ciągu całej kampanii północnoafrykańskiej, Łazik był najbardziej na uznanie zasługującym wehikułem. W nagrodę za to, gdy generał amerykański George S. Patton odbierał defiladę oddziałów francuskich gen. Auguste Nogue, po ich przyłączeniu się do Aliantów, wyróżnił dla tego celu Łazika, w miejsce reprezentacyjnej limuzyny. Nieco później w czasie konferencji w Casablance, Prez. Stanów Zjednoczonych Roosevelt, posługiwał się stale Łazikiem, w czasie objazdów inspekcyjnych.

Historja przyjścia na świat ...

Historia przyjścia na świat Łazika jest równie ciekawa, jak jego wojenne wyczyny. Aż do wybuchu obecnej wojny, dla celów rekonesansu wzgl. ataku, używane były motocykle z przyczepką albo lekko zmodyfikowane samochody. Oba te rodzaje pojazdów, miały zasadnicze błędy. Motocykle mogły zabrać tylko 2 żołnierzy, natomiast samochody były znakomitym celem dla nieprzyjaciela. Końcem r. 1939 pułkownik ameryk. R. Howie wpadł na pomysł wybudowania zupełnie odmiennego wozu, o niespotykanym dotąd niskim profilu, z umocowanym na nim cekaemem, i tak silnego, by mógł pokonać wszelkie przeciwności terenu. Myśl ta została przekazana do zrealizowania dyrekcji jednego z największych amerykańskich koncernów samochodowych Willys Overland Motor Co.

Pierwszy próbną wóz, wykonany jeszcze przez pułk. Howie, ważył tylko 750 kg. i posiadał motor 15-to konny. Nie miał zupełnie siedzeń, a kierowca, który równocześnie obsługiwał cekaem musiał stać leżąc na brzuchu, i za pomocą wyciągniętych nóg operował hamulcami i przekładniami. — Wóz ten, od doskonałości bardzo odległy, wykazał jednak nieprawdopodobne możliwości. Amerykańskie ministerstwo spraw wojskowych zaprosiło do współpracy nad ulepszeniem tego modelu, wszystkie większe wytwórnie samochodów. Po wielomiesięcznej pracy, firmie wyprodukowały 75 modeli stosując do nich wszelkie ostatnie ulepszenia.

Gdy pierwsze modele nowego wozu przybyły do wojskowego centrum badania, wprawili fachowców w zdumienie. Próby przydatności i wytrzymałości wozu dla armii amerykańskiej, polegały na przebyciu 4.000 mil na szosie, 3.000 mil na górskich bezdrożach, i 1.000 mil po piaskach. Wóz ochrzczony mianem Jeep'a przeszedł 6-cio tygodniową próbę, i uzyskał znakomitą punktację. Ekspertcy zażądali jednak obniżenia wagi pojazdu do 1.100 kg. co przysporzyło dalsze miesiące próby. Jesienią r. 1941 model był wreszcie gotów, i został oddany do produkcji koncernom Willys' Overland i Ford Motors Co.

Jako dodatkowe, niewymienione dotąd zalety, pojazd ten zaopatrzony jest w opyny odporne na przestrażały, i tak uproszczone zawieszenie kół, że mogą być one z łatwością zdejmowane i cała maszyna zapakowana do skrzyni nie wiele większej od skrzyni używanych do pakowania fortepianów. Dwa połączone ze sobą Łaziki

tworzą znakomity ciągnik nawet dla dział 105 mm.

Obecnie znajduje się w konstrukcji dwu-kołową przyczepką o wodoszczelnej skrzyni dla przewozu amunicji. Nadymane koła, dzięki specjalnym zawiasom, przekręcone pod spód skrzyni przyczepki, działają jak koła ratunkowe, i znakomicie umożliwiają transport amunicji na wodzie. Motory Łazika znajdują obecnie zastosowanie w łodziach ratunkowych, gdyż dzięki 63 konnemu silnikowi przy małej wadze, umożliwiają natychmiastowe odbicie od tonącego okrętu, chroniąc przed porwaniem w wir tonącego okrętu.

„Dajcie mu skrzydła“ ...

Ostatnio dostosowano Jeep'a do pracy w terenach podbiegunowych, przez umieszczenie pod przednimi kołami płóz, i przez nałożenie gąsienicy na tylne koła, po dokonaniu niewielkiej zmiany. Miniaturowy piecyk benzynowy, i odpowiednie ciepłe zabezpieczenie maski, umożliwiają natychmiastowe rozruszenie po całonocnym postoju na 40-to stopniowym mrozie. Jeep przezwany w tej odmianie pingwinem, wykazał sprawność 30 mil na godz. ciągnąc za sobą cały pluton strzelców na nartach. Fabryki Forda produkują obecnie inną odmianę Jeep'a, zwaną przez żołnierzy kaczka. Jest to Jeep obudowany skrzynią w kształcie łódki. Przez użycie odpowiedniej napędzającej z kół tylnych zostaje przeniesiony na srobie wodna, umieszczona w tyle łódki, zamieniając pojazd w okamgnieniu na motorówkę. Dalsze adaptacje to pompa wodna, do wylączania przelewającej się przez burty wody, chroniąca amunicję i zapasy od zamoknięcia. Żołnierze amerykańscy w Burmie, na widok tego wehikułu wołali „dajcie mu skrzydła i onie a pofurnie by walczył ze Stukami.“ Nie sposób ni w części opisać tego, co dokonały Jeepy w czasie ewakuacji Burmy, po drogach nie do przebycia, wśród dzungli i moczarów, i nie sposób wyliczać fakty, jak wielu tysiącom żołnierzy Jeep'y uratowały życie, tak w akcji jak i w służbie sanitarnej.

Miliony żołnierzy alianckich na wszystkich teatrach wojny odnoszą się z równym sentymentem do tego niezawodnego mechanizmu przyjaciela i towarzysza broni, — a gdy nastanie pokój, amerykańskie władze wojskowe, będą musiały specjalnie baczyć na park demobilu, — gdyż połowa żołnierzy będzie chciała powrócić do domu ze swym przyjacielem Jeep'em.

Ef. Te.

jako równie dobre. Wiem, że po miesiącach siedzenia w okopach wszyscy chcielibyście wziąć udział w pięknie zapowiadającym się zadaniu zaczepnym. Trudny węc miałem wybór. Przy powzięciu decyzji kierowałem się zatem rodzajem sprzętu, w który są wyekwipowane baterie i możliwością najsprawniejszego zwolnienia dział z pozycji. Na tej podstawie uznałem, że pojedą te baterie, które mają najwięcej dział polskich Boforsów, jako wyposażone w nośniki najwłaściwsze dla walki ruchomej, czyli baterie 1-a i 4-a. Postanowiłem, że baterie kapitana K. weźmie udział w akcji na Medaur, bateria porucznika P. zaś w kierunku na Derne.

Nie potrafię wyrazić uczucia, jakie przeżywałem w tej chwili. Myślałem, że świat jest piękny, wojna cudowna, a pułkownik mędrzec prawdziwy.

NIEDOSZŁY ODDZIAŁ POŚCIGOWY

Już nazajutrz od świtu gorączka przygotowań ogarnęła baterię. Kierowcy działonoń pobrali nośniki pod działka. Morrisy, odziedziczone po Australijczykach, które choć miały za sobą po kilka tysięcy mil przejechanych podczas pierwszej ofensywy Wavella, to jednak zremontowane i pieczołowicie przechowywane w rucie tyłowym kwatermistrzostwa, czekały chwili zakończenia oblężenia. Z kwatermistrzem szły nieustanne targi o każdy galon benzyny. Kwatermistrz złośliwie dowodził, że nasz pościg nie pójdzie dalej jak kilkanaście kilometrów, nikt jednak w baterii nie wątpił, że jak raz się rozpędzimy, to nie zatrzymamy się aż w Dernie. (Ta miejscowość wydawała nam się wówczas niezmiernie daleko). Z każdego działonoń któryś z chłopaków udawał się do portu, gdzie stała kolumna Transportowa, która nie tylko skupiała elitę intelektualną

Brygady, ale i nakładała swoiste rogatkowe na zaopatrzenie nadchodzące do Tobruku, choć trzeba przyznać że szlachetnie nim się z przyjaciółmi dzieliła. Ja też się tam wybrałem by przy sposobności pożegnania ze starymi przyjaciółmi Jerzym G. i braćmi Kleszcz załadować na wóz worek kompotów i dżemów. Działka zostały zluźnione do drugiej linii (przy czym w nocy samochód wjechał na minę i mieliśmy trzech rannych, dwóch na szczęście lekko, przy stałym braku uzupełnień był to jednak poważny problem) dzięki czemu we względnej niewidoczności ze strony nieprzyjaciela działonoń mogły wypróbować najlepszy system załadowania na stosunkowo niewielki samochód. Załadowano: działko, pięciu ludzi, 100 naboju, koce, benzynę, wodę i erkaem. Szef, starszy wiekiem wąsаты sierżant, półŻmudzin, pół-lwowiak, był bardzo zadowolony z przydzielonej mu na rezerwę zaopatrzenia trzytonówki. Mnie przypadła w udziale lekka, niewielka Chevroletka, która mi potem wiernie miała służyć pod okiem doświadczonego kierowcy od Hartwiga, również lwowiaka, wesolego jak czyżyk Ludwika B.

Wreszcie któregoś dnia nadszedł oczekiwany szyfr telefoniczny. Zaalarmowane działonoń w ciągu dwudziestu minut zajęły na miejsce zbiórki. W mej karierze wojskowej była to chwila niezapomniana, nie dlatego, że wyruszałem na wojnę, ale że po raz pierwszy dowodzić miałem oddziałem zmotoryzowanym. W Polsce we wrześniu wyszło się na wojnę piechotą, w Norwegii mieliśmy muły, potem w Bretanii rowery zarekwirowane Francuzom były szczytem motoryzacji. Teraz wreszcie, w trzecim roku wojny nie będziemy już gorsi od Niemców. Jak imponująco wyglądał nasz oddziałek 25 ludzi. Sześć samochodów stało w szyku rozwiniętym na

drodze, na czterech z nich zgrabnie osadzone polskie działka przeciwpancerne (z orłami jako znakiem fabrycznym, napisami „Sto mil“ na kołach aż do Tobruku zawędrowały ze Starachowickiej fabryki) szczerzyły groźnie swe paszczki. Żołnierze siedzieli na wozach poważnie zdając sobie zapewne również sprawę z historycznej chwili, spoglądając z góry na przechodzących żołnierzy z piechoty i kawalerii, zostających w okopach twierdzy, podczas gdy myśmy mieli wyjść z twierdzy i ruszyć na nieprzyjaciela.

Gwizdek, ręka do góry — uwaga; potem znak na zapuszczenie motorów; wreszcie sygnał odjazdu. Oddział liczył dwa razy mniej ludzi aniżeli we wrześniu miał pluton piechoty, ale stał się tak wielki, że głosem już nie można nim dowodzić — samochody ze względu na O.P.L. są rozrzucone na pół kilometra. Jedziemy kilka mil do rejonu d-twa I Baonu, celem zameldowania się u majora P., dowódcy oddziału pościgowego, Tam na miejscu krótka odprawa. Ofensywa z Egiptu już ruszyła. Niemcy mogą w każdej chwili rozpocząć wycofanie spod twierdzy. Na pewno uczynią to nie w dzień ale w nocy. Patrole nasze będą zatem nieustannie utrzymywały styczność z nieprzyjacielem. Bateria ulokuje się w sąsiednim wąwozie i czekać będzie rozkazu do wymarszu.

Jakiś filozof powiedział: w wojsku naprzód bardzo się długo czeka, potem się okropnie spieszy, a wreszcie i tak się spóźni. Podobnie było i teraz z nami. Poprzednio wraz z działonońymi opracowywaliśmy z dokładnością minut system zaalarmowania i stawiania się do dyspozycji oddziału pościgowego. Tymczasem teraz miały dnie za dniami, i czekaliśmy dalej w wąwozie. Do pobliskiej baterii

artylerii chodziliśmy na komunikaty radiowe, śledzieliśmy postęp ofensywy Auchinleka, której rozpoczęcie oficjalnie obwieścił już był Churchill. Dowiedzieliśmy się, że uderzenie alianckie spotkało się z mocnym przeciwuderzeniem Rommla, który w dodatku pomieszał szyki alianców, puszczając zagon czołgów na ich tyły, w kierunku kwatery połowej d-cy 8 armii. Wiedzieliśmy, że pod Sidi Rezegh, o kilkanaście kilometrów na południowy-wschód od Tobruku toczy się już od kilku dni bitwa o zmiennym szczęściu. Niemcy w każdym razie ani myśleli o wycofaniu się spod twierdzy, co więcej, któregoś dnia rozpoczęli natarcie na pozycje III Baonu, ale zostali ze stratami odparci. Bardzo prostym zatem sposobem taktycznie uniemożliwiali nam rozpoczęcie pościgu, po prostu nie chcieli ani się wycofać!

Nie martwiliśmy się tym zbyt. Byliśmy na tyłach, odpadły nocne tak wyczerpujące w Tobruku służby i czuwania, żołnierze mogli się wypocząć przed czekającą ich akcją. Ponadto stwierdziliśmy, że opadał ma swoje miejsce postojowy stary przyjaciel z cywila Włodzimierz L., z którym tyliśmy miłych chwil razem przeżyli nad pięknym janowskim jeziorem czy w schroniskach tatrzańskich. Teraz zapraszał mnie na kolację, doskonałe i nawet zakrapiane, ponieważ szef jego baterii właśnie był dostał większą wawółkę z Aleksandrii, od przyjaciółki-Greczynki, na pewno nie trzpiota ale solidnej gospodyni.

Tak minął blisko tydzień. 30 listopada przed południem otrzymuję telefonem krótki rozkaz: bateria stawi się o godz. 16.00 w miejscu (tu następowywały zasyfrowane liczby współrzędnych geograficznych, jak zwykle w pustyni). Z lakończności rozkazu wnioskowałem, że tym razem chyba jednak pojedziemy już na wojnę.

OSTATNI PATROL

Słowa „ostatni patrol” brzmią nieco tajemniczo, a w treści ich dźwięczy nuta niebezpieczeństwa. W tym wypadku jednak wszystko wyglądało inaczej. Ostatni patrol pociągu pancernego „D” odbył się raczej na wesoło, a wszyscy uczestnicy tego patrolu powrócili beztrudno na „cup of tea.”

Oczywiście rzecz się działa w czasie wojny i na pozór wyglądała nawet groźnie. Zaczynajmy jednak od początku...

A więc — w przesłanej, dużej willi, położonej w olbrzymim ogrodzie, pełnym wspaniałych drzew, krzewów i kwiatów — rozległ się pewnego poranka w roku Pańskim 1943-cim sygnał alarmowy. Cicha willa, nadająca się raczej na romantyczne schronisko zakochanych, aniżeli na miejsce postoju rycerzy Marsa — zadrażała nagle od tupotu podkutych butów, a w ogrodzie zaszcząły motory samochodów i caryersów.

Alarm! Alarm!

W szalonym pędzie podjechały samochody, do których rzucili się ludzie w hełmach, obładani przeróżną bronią. Zanim ktokolwiek zdolał im się przyrzeć —

zniknęli wraz z samochodami w tumanach kurzu. Za nimi ruszyły kariery.

Na małej stacyjce kolejowej stał już pod parą pociąg pancerny „D”, groźnie spoliadający lufami dział. Ludzie w hełmach — załogi pociągu pancernego — szybko zajęli miejsca na swoich stanowiskach. Ze strzelnic stalowych wagonów wyrzwały lufy karabinów maszynowych.

Jedynie dowódca pozostał przy pociągu, wydając ostatnie rozkazy załogom kariersów, do zadań których należy ubezpieczenie pociągu pancernego.

Powoli pociąg ruszył z bocznicy — kierując się na wschód, ku wybrzeżu morskemu, gdzie spodziewany był nieprzyjaciel. Nad jednym z wagonów ukazała się antena. Radiostacja rozpoczęła pracę.

Gdzieś polami posuwały się kariery, niewidoczne dla oka, utrzymujące jednak stałą łączność radiową z pociągiem. Dowódca co chwila odbierał meldunki od radiotelegrafisty i kreślił jakieś linie na mapie. Wszyscy oczekiwali w skupieniu.

Aż nagle...

Nagle, w oddali, wyrósł słup dymu.

Zadźwięczały wewnętrzne telefony. Więzycki dział nieznacznie się poruszyły.

Czarny, duży wiadukt zbliżał się do pociągu, rósł w oczach. Coś się tam kotłowało.

Z za dymów wypadły nasze kariery, przeszły wiaduktem i runęły w dół, ścigając nieprzyjaciela. Znowu słup dymu i huk wybuchu. Pociąg jak burza przeszedł pod wiaduktem, na którym nagle coś zabłysło w słońcu.

Obejrzałem się. Na wiadukcie aparaty filmowe kończyły swoją pracę.

Dośkonale! — ogłosiło radio.

Polski pociąg pancerny „D” zakończył swój ostatni patrol.

Kiedys, w Polsce — już zapewne niedługo — będziemy oglądali ten film. Ze zdziwieniem być może niejedyn widzą się dowi, że w Wielkiej Brytanii, obok polskiego lotnictwa, obok marynarki i armii lądowej — pełniły także swoją służbę — polskie pociągi pancerne. I że pociągów tych było dwanaście!

W roku 1940-tym, kiedy z dnia na dzień spodziewano się inwazji niemieckiej — znaczenie pociągów pancernych było bardzo duże, czego dowodem może być nawet fakt, że pozostawały one pod rozkazami generała Aleksandra — słynnego już dziś zwycięzcy na froncie północno-afrykańskim. Były to czasy, kiedy gen. Alexander często zaglądał do polskich pociągów pancernych, które patrolowały olbrzymi szmat wybrzeża, od Aberdeonu w Szkocji aż do Plymouth.

Dziś pociągi pancerne zakończyły swoją służbę. Nie będzie inwazji Anglii — rozpoczęliśmy inwazję Europy.

Pożegnalny obiad w cichej willi jest nieco smutny. Ano — bądź co bądź — trzy lata to kawał czasu. Trzeba żegnać stare miejsce postoju.

„Dziś tu, a jutro tam...” — płynie piosenka.

— Nie zdobyliśmy w tych pociągach bojowej sławy — mówi z uśmiechem dowódca. — Nie było okazji...

Zapada wieczór. Niebem płyną samoloty. Na Niemcy. Potężny huk motorów układa się w jakąś przedziwną symfonię nocy i grozy.

POWAŻNIE I NA WESOŁO

Rozstawiamy własną rodzinę po kątach

Kiedy przy śniadaniu bąknąłem niechęć, że zamierzam napisać felieton o redakcji „Dziennika”, dodając, że czytelnicy powinni — mają prawo wiedzieć jak wyglądają redaktorzy ich pisma, wszyscy zadrżeli jak gdyby uderzył w nich grom z jasnego nieba. A Olechowskiemu, który właśnie szukał nowego rytmu do „moja miła”, wypadła filiżanka z ręki. Ale najbardziej zbladł nasz redaktor i zaczął nerwowo jedną ręką (prawą) kręcić kulki z papieru, drugą (lewą) gładzić hiszpański wąsik.

Kiedy wszyscy wyszli, wziął mnie na bok i tonem łagodnej perswazy zaczął mi tłumaczyć, — a kiedy widział, że bez skutku, — zaklinać na wszystkie świętości, żebym napisał felieton na poważnie, bez wygłupiania, że ostatecznie kalaniem własnego gniazda, ośmieszeniem kolegów daleko nie zajadę, nie zdobędę ani sobie ani pismu popularności. Czytelnik zdaniem redaktora powinien uważać dziennikarza za osobę nie z tego świata, istotę mimozę, za uosobienie wszystkich możliwych i niemożliwych cnót i zalet, która nie je, nie pije a chodzi i pisze. Obiecał nawet solennie, że w nagrodę o ile będę grzeczny zabierze mnie na pstrągi. Przy tej sposobności wygadał się, że w Kanadzie pewna przystojna wdowa po bokserze, uczyła go między jednym a drugim numerem „Odsieczy”, łowić pstrągi. Podróżuje odtąd stale z trzema wędkami, a nawet jedną z nich, z piękną rączką z kości słoniowej wygrał w Szkocji na międzyzaliczkich zawodach urzędzonych staraniem naszego ministerstwa pracy i opieki społecznej.

Lampa, która przyswiecała mej znojnjej pracy podczas bezsennej nocy jest świadkiem koronnym, że usiłowałem pisać poważnie i poważnie wybielić nadszarpniętą reputację moich kolegów. Pisałem na stole, na krześle, pod łóżkiem, a w końcu stanąłem na głowie, ale nie pomogło.



R. K.

Akrobatyczna tancerka traci równowagę

PRZED STARTEM



SYLWETKI ŻOŁNIERZY APW.

Strzelcy z „Małej Ziemiańskiej”

Tymoteusz dzisiaj ma już gwiazdkę i wygląda bardzo groźnie. Ale to tylko dla nieznanym. Bo naprawdę, Tymoteusz po dawnemu pisze świetne wiersze, maluje, kocha do szaleństwa Basię i wogóle jest mało podobny wewnątrz do otoczenia.

Ale wspominałem o Basi. Tymoteusz zachłystuje się z zachwytu gdy dziecko mówi do niego jakiś zupełnie niepojętym językiem, gdy uśmiecha się. Basia ma trzy lata, jest córką jednego (potrzebna niedyskrecja) z najzdolniejszych na Wschodzie malarzy, i zaczęła żyć bardzo awanturniczo już w drugim roku życia, kiedy to zalany tatuś przy pomocy nietrzeźwej mamasu poczęstował ją naparstkiem wina. Basia urzynała się, i od tego czasu typuje się na cudowne dziecko. Wyraża się ta cudowność w długich rozmowach z kotem, w używaniu młotka (pod nieobecność domowników) do wypróbowywania maszyny do pisania. W różnych takich oryginalnościach.

Więc ta Basia. Tadeusz formalnie za nią szaleje. Przyjeżdża do niej na urlop. Może dlatego że w oczach dziecka odnalaż blask zgubionych we wrznięciu światła

bijących z oczu własnej siostrzyczki.

Tymoteusz przyszedł do wojska przez Węgry. Przyszedł do Syrii, poszedł do Tobruku. Przyszedł do wojska wprost z kawiarni, wprost od książek i stalug, przy których projektował dekoracje dla Jaracza. Po wrześniu zapiął się pod szyję, zabrał się do karabinu. Zaczął strzelać. Nie został jak jego paryscy koledzy w zaciszu domu. Wywalił tysiąc trudnych wojskowych drzwi. Ma twardą twarz i bardzo młody uśmiech. W jesienne wilgotne wieczory, lubi spacerować po syryjskiej drodze, i wspominać — dziś już jakże odległe i do dziś — tak bliskie czasy.

Więc... ten Tobruk o którym już tyle wiemy. Ziemiańska. Na horyzoncie włoskie działa. W ziemiance Sławek — pisze sobie muzykę do ósmego psalmu Kochanowskiego. Sławek ma twarz skupionego mnicha, na oczach okulary, w ręku ołówek. Piasek sypie się mikroskopijnymi lawinami po nutowym papierze. Sławek patrzy w niebo oczekując na nalot, i zapisuje takt po takt. Tymoteusz siedzi w kącie ze schowaną w garści papierosem i słucha jak Ro-

man recytuje Słowackiego. A Sławek nie tylko raz spojrzy na niebo, raz na nuty. Tymoteusz wie że ten człowiek skończył prawo i napoczął konserwatorium, uniwersalnie można powiedzieć zna historię i muzykę i ma zawsze wspaniale wyczyszczony karabin chociaż ma przy tym bardzo brudne szorty. Tuż przed wojną, był wysokim urzędnikiem administracji państwowej. Ten człowiek przeniesiony z gabinetu na libijski piasek — w dzień rozmawia tajemnie z Kochanowskim, w nocy chodzi na patrole i podgląda Bogumiła który z gwiazdnych konstelacji składa poetyckie obrazy.

Gdyby ich przebrać w cywilne ubrania, poczuliby się chyba ci ludzie znowu jak kiedys, w Ziemiańskiej. W ziemiance czują się inaczej, ale czują się jak istoty zdematerializowane. Niekiedy tylko, sprowadza ich na ziemię bolesny kurz po włoskim pocisku. Czasem Sławek wśluchuje się w bliski sercu gwizd niemieckiej bomby.

Tymoteusz zawsze jest spokojny, chociaż ciąży na nim odpowiedzialność za losy tych wariatów. Jest tutaj najstarszy stopniem.

Pewnego przedpołudnia, załoga „Ziemiańskiej” poszła do natarcia. Było to pod Gazalą. Sławek po pierwszych stu-

metrach poczuł opuszczające się coraz niżej serce. Biegł z karabinem. Ale myślał o psalmach Kochanowskiego. Zaczął zaciskać zęby, żeby nie krzyknąć z ostatecznego wysiłku. Przed oczami miał całe życie. Trudne lata studiów, wrzesień, wzrok osłabiony tysiącami przeczytanych książek. Dobry uśmiech Elżbiety. Tobruk...

Biegł, po lewej ręce widząc Tymoteusza w hełmie osuniętym na tył głowy. Po prawej biegł jak sarna Bogumił. Minęli włoskie erkaemy. Skończyło się. Wieczorem Sławek wrócił do nut, Tymoteusz narysował twarze obu przyjaciół: czarną, zmęczoną Sławka i jasną Bogumiła.

Dzisiaj Sławek jest podchorążym. Napisał już ten psalm i jeszcze ze sto kawałków. Zakonnica twarz wyjaśniała. Oczy tylko jak zawsze kryją okulary, a serce — pamięć o Elżbiecie.

Tymoteusz, powiedziałem już, ma pod swoją opieką masę różnych rzeczy. Od Basi do zwiadu w dywizjonie.

Bogumił odpłynął do Anglii. Wspomina czasem w gazetach dni dawnego swobodnego szczęścia, kiedy to po wyjeździe z jasnego pokoju krakowskiego domu aka-Sławkiem z tobruckiej jak nazywali swoją norę — „Małej Ziemiańskiej”.

demickiego, strzelał z Tymoteuszem i

JERZY BAZAREWSKI

Przecież wszystkie wróble świerkają w m.p. pewnej dywizji, że Racięski jest prawosławnym anabaptystą i, że jako czteroletni ośesek kłuf guwernantkę długą szpilką od włosów. Cóż pomoże sprostowanie, że Racięski jest metodystą, że tragiczny wypadek z guwernantką miał miejsce, gdy liczył 6 tygodni i nie odpowiadał za siebie. Wrogowie jego i tak tłumaczyć to będą na jego niekorzyść, że niby zaczął już w kołysce. Całe szczęście, że nie wiedzą, że ciotka tej guwernantki należała do stronnictwa ludowego.

Na usprawiedliwienie jego można tylko przytoczyć, że pochodzi z Nowego Sącza a jak wiadomo ludzie z gór, potomkowie Janosika, mają zbyt dużo temperamentu. Ci, którzy zobaczyli naszego Zbyszka w pięknym stroju góralskim z kolorowymi parzenicami wiele by mu przebaczyli. Bez picia.

Szczupły młodzieniec o bladej uduchowionej twarzy ascety do Żarnowski, o którym zle języki rozpowiadają, że pije jedynie denaturat. Nie odpowiada to prawdzie, natomiast prawdą jest, że pije wysokoprocentowe piwo.

Nieprawdą również jest, że ma dużo pieniędzy, natomiast prawdą jest, że sprzedał dwa dni temu ulubionego kanarka, ponieważ nie miał na kino, a wczoraj, klatkę zamienił na dwie uncje pomidorów. Nieprawdą dalej jest, że pracował w „Naszym Przeglądzie”, a prawdą jest, że był nocnym redaktorem endeckiego „Dziennika Wileńskiego”. Kiedy raz ziewnął, zobaczyłem, że ma autentyczne czarne podniebienie. Kiedy przyjechał do Tel-Awivu z prawdziwym wzruszeniem, okiem fachowca oglądał szyby sklepowe. Przypominały mi się czasy chmurne i górne. Mruczał pod nosem — tyle szyb, tyle szyb. Tak się rozmarzył, że wczoraj sam sobie rozbił szkiełko od zegarka.

Najczęściej spotykacie się oko w oko z naszym dyrektorem administracji Sokołowskim (co za pięknie szumny tytuł), który na szybkiej zmotoryzowanej hulaj nodze obiega obozy sprawdzając kolportaż Dziennika.

A teraz poznaćcie Jasia Olechowskiego, primo voto „prawosławni”, secundo voto „ramzes”. Olechowski jest teraz w Karpackiej i drogą normalnej ewolucji, mówi o sobie „my z brygady” i nosi biały, parcyjany pas. Raz jednak do roku, w noc świętojańską ubiera skórzaną pas i biegnie do swych dawnych kolegów i dalej z Bazarowskim prowadzi długie rozmowy ile razy był stachanowcem, jaka była norma na lesa obrabotce, ile razy był na karnym kotle. Czasami wyłazi z niego jeszcze „bagienny człowiek”. Dwa dni temu zjadł z głodu w nocy rękopis Melchiora Wańkowskiego, tak, że redaktor z pamięci musiał rekonstruować artykuł o Mussolinim.

Jedyną bez zastrzeżeń jasną pozycją w naszej redakcji jest Tala Sierżputowska, najbardziej pracowita z pracowitych, najbardziej miła z miłych. W pułku ufanów podolskich „Dziennik” sprzedaje się w podwójnej ilości. Ułani z sympatii dla swej dawnej świetliczarki kupują po kilka egzemplarzy, wiedząc, że każde słowo wydrukowane, zostało przed tym przez nią pracowicie wystukane na maszynie.

Drugą sylwetką, która po pewnym retuszu wydać się może i sympatyczna to autor tego felietonu.

który pisze starą pisownią zamiast nową i zadaje zecerowi niepotrzebną pracę korekty podczas składania.

(to samo z „interpunkcją”), gdzie kropka a gdzie przecinek muszą sam wykombinować).

Przypisek zecera

Przyznaję, że nie miałbym nic przeciw temu, gdyby przy dobrym retuszu razem z szarymi plamami w okolicy duszy znikły fałdy w okolicy podbródka. Ten drugi podbródek jest w wielu wypadkach przyczyną nieporozumień i zła. Patrząc na mnie wszyscy sądzą, że redakcja płaci grube stawki za artykuły. Tymczasem niestety tak nie jest.

Honoraria płaci się tylko za artykuły nadesłane. I to nie markami pocztowymi, ani żetonami a prawdziwymi pieniędzmi. W tak dyskretny sposób namawiam Was do współpracy z nami. I oto dochodzimy do sedna sprawy.

Celem naszym jest nawiązanie bliższej znajomości z Wami, Czytelnicy i przysli współpracownicy Dziennika, Chcielibyśmy nawiązać z Wami kontakt jak najcisłszy, najbardziej serdeczny i zażyły. Na 102.

I dlatego felieton ten przeznaczony jest dla tych, którzy chcą się „wżenić” w naszą przemiłą rodzinę, — by ostatecznie wiedzieli z kim mają przyjemność, czy zbyt pochopnie nie zrobią mezaliansu.

Na dobrą sprawę artykuł ten powinien ukazać się w rubryce ogłoszeń matrymonialnych, której jednak w naszym dzienniku jeszcze nie ma. A bardzo by się przydała.

Zdzisław Bau